Nr. 23. Lwów — Piątek dnia 29 Stycznia. **Rok 1892.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty.

We Lwowie bez dostawy	Na Prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie - zł. 75 ct.	Miesięcznie zł. 1·10
Kwartalnie 2 „ 25 „	Dwumies „ 2·10
Półrocznie 4 „ 50 „	Kwartalnie „ 3·—
Rocznie 9 „ — „	Rocznie „ 12·—

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inne się nie przyjmują.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „Przeglądu“ we Lwowie przy ulicy Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumerate przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują
Trafika J. Waśnego, ulica Czarnieckiego 2.
„ przy ul. Karola Ludwika 5.
„ „ ul. Jagiellońskiej liczba 4
„ „ ul. Słowackiego (obok łazienek Diany)
Biuro dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: św. Franciszka S. | Antonya W.
Jutro: św. Martyny P | Aftanarya

Adres Redakcyi i Administracyi: **ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 7 m. 41
Zachód „ „ 4 „ 48

Długość dnia g. 9 m. 7
Przybyło dnia 2 m.

Upraszamy pp. abonentów z prowincyi o wczesne odnawianie prenumeraty. Wynosi ona na prowincyi miesięcznie 1 złr. 10 ct., dwumiesięcznie 2 złr. 10 ct., kwartalnie 3 złr.

Przegląd polityczny.

Lwów 28 stycznia.

Angielskie telegraficzne „Biuro Reutera“ wysłało do Rosyi specyalistów dla zbadania przyczyn i rozmiarów klęski głodowej. Sprawozdania ich właśnie zaczęły się pojawiać częściami, jako bardzo obszerny referat, przepełniony wywodami ekonomicznemi, które mogą interesować wielki świat kupiecki. Ale w referacie tym są szczegóły bardzo ciekawe dla wszystkich i te bierzemy za przedmiot niniejszego artykułu.

Przeszło trzydzieście lat temu, w dobie zniesienia pańszczyzny w caracie, gubernie dotknięte teraz głodem były zaludnione dość słabo, cena ziemi była bardzo mała, stosownie do dochodu, jaki dawała, a ponieważ wielkość tego dochodu stanowiła podstawę do wymierzenia ilości ziemi każdemu chłopowi, przeto oni w tych guberniach otrzymali po 30, 40 i 50 dziesięcin. Gdyby taki obszar dano każdemu na wieczystą własność, to wkrótce mógłby powstać bardzo majętny stan włościański. Ale wówczas w sferach rządowych panowały prądy zabarwione z lekka komunizmem. Dowodzono, że naród rosyjski nie ma pojęcia o własności indywidualnej, za to od wieków wprowadza gdzie może zasadę własności wspólnej, gminnej, co się u niego nazywa „artiel“, to znaczy spółka wszystkich robotników z wybranym kierownictwem. Gdzie się tylko zjawiają kacapi, jako robotnicy, przedsiębiorcy, koloniści, eksploatatorowie jakiegoś przemysłu, zaraz tworzą ową „artiel“. Liberalni ministrowie Aleksandra II z dumą patrzali na to, że marzenia komunistów europejskich już się dawno wcieliły w życie rosyjskiego narodu; mówili oni, że oto jest oryginalna, czysto rosyjska forma własności, do której reszta ludzkości dopiero dąży. Więc aby nie psuć tej oryginalnej narodowej formy, dawano ziemię nie każdemu chłopowi osobno, ale razem wszystkim, całej gminie, która stała się właścicielką swych gruntów i co roku na jednę rolniczą kampanię dzieliła je między swych członków. Każdy chłop co roku inny otrzymywał kawałek, a łąki i lasy były nie dzielone, lecz dopiero coroczny zbiór, dokonywany wspólnemi siłami, szedł do podziału. Rzecz jasna, że w skutek tego nikt nie dbał o podniesienie uprawy, bo po cóż miałby się mozolić, orać lepiej, oczyszczać rolę z chwastów, zasilać ją nawozem, kiedy w następnym roku jużby ktoś w gminie wpływowszy zaraz wziął sobie ten grunt? Tak od lat trzydziestu ziemia jest coraz bardziej zaniedbywana, wydaje coraz gorsze plony i coraz niklejsze ziarna. A tymczasem ludność się podwoiła, podatki wzrosły, więc i więcej chłop musi sprzedawać, aby zaspokoić skarb państwowy, i podatki ziemskie, i wreszcie czynowników, których jest trzy razy tyle co było, a głodni i chciwi są jak dawniej.

Była jeszcze druga przyczyna zupełnego zaniedbania roli. Gdy od obszarów szlacheckich odcinano ziemię dla chłopów, szlachta postarała się o to, aby odcięto dla nich łany jak najdalsze od wsi, a bliższe zostawiono dla dworu. W skutek tego od wsi do chłopskich gruntów jest nieraz 3 i 4 mile. Gdyby grunta dawano chłopom na wieczystą własność, to każdy z nich powoli przeniósłby się ze wsi na swą posiadłość i tak powstałoby tysiące futorków. Ale ponieważ zarząd gminny dawał co roku gospodarzom inne grunta, przeto nikt się nie mógł przenosić ze wsi, bo nie wiedział gdzie. Łatwo zrozumieć, że gospodarowanie na odległość paru mil musiało być złe: ani nawozu dowieźć, ani wody spuścić na wiosnę, ani zorać i wybronować dobrze. Po żniwach zaraz na miejscu młócono, a słomę albo palono, albo w stertach trzymano do zimy — na opał, nie na podściółkę, bo lasy swoje wkrótce po uwłaszczeniu gminy w pień wycięły. Wyszły źle na tem i gospodarstwa szlacheckie, bo chłop tyle czasu marnował na podróże do swego gruntu, że nie mógł się najmować do robót na dworskich łanach. W skutek tego szlacheckie ziemie są tak samo zaniedbane i wyjałowione jak chłopskie. Dziwny obraz przedstawia cały kraj. Wioski liczą po 6 i 8 tysięcy mieszkańców, ale są tak rzadkie, że czasami cały dzień trzeba jechać z jednej do drugiej, nie spotkawszy nawet rozwalonej karczmy,— wszędzie się rozciąga płaski, głuchy i wyjałowiony step. Taki widok przedstawia obszar, na którym wygodnie mogłaby się pomieścić cała Anglia. Tylko gdzie niegdzie — jak zielona oaza w pustyni — leżą dobra księżnej Oldenburskiej. Zarząd tych dóbr jest w rękach Europejczyków, którzy i chłopów zmuszają do porządnej pracy, a posłuch mają, bo ich pani jest kuzynką cara. W tych miejscowościach żadnego niedostatku nie ma, co najlepiej dowodzi, że przyczyną głodu nie jest zły rok, ale jest złe od wielu lat gospodarstwo. Dziś doraźnie nie pomoże tym guberniom rok najbardziej sprzyjający rolnictwu, bo ziemia jest wyniszczona, a nawozu nie ma. Stosunkowo najlepiej ma się jeszcze w tych okolicach sześciotysięczna wieś Makary; w niej tylko 1119 osób na początku grudnia nie miało już co jeść, a z 1489 koni jeszcze zostało 707. Ale zaraz druga wieś Orłowka, tak samo zaludniona jak tamta; w niej już żadnego bydła nie było w grudniu i zaczął się tyfus głodowy. Takie wsi, jak Orłowka, są wszystkie, a dwory w nich opuszczone, okna i drzwi zabite deskami, stodoły, obory, stajnie puste, otwarte, ogrody wycięte przez chłopów na opał, płoty rozgrodzone— sami właściciele wynieśli się do miast. Nawet duchowieństwo parafialne, zamiast lud pocieszać w tak ciężkiej niedoli, przeważnie się schroniło w miejskich murach. Pomoc rządowa już się zorganizowała: na każdego człowieka dają miesięcznie 30 funtów mąki. Lecz nie mówiąc już o tem, że taka pomoc nie uchroni od głodu, godzi się spytać: jak długo rząd będzie w stanie dawać te zasiłki, których dowóz jest trzy razy kosztowniejszy od wartości ładunku? A do nowego żniwa daleko...

Tak brzmi sprawozdanie angielskich specyalistów, wysłanych przez Biuro Reutera.

Zamianowanie przez Papieża xiędza kardynała Ledóchowskiego prefektem Propagandy wywołało ogromne niezadowolnienie niemieckich pism liberalnych. Radzibyśmy wiedzieć, co im do tego? Ale prawda: jedyną ich siłą — bezczelność, z jaką się do wszystkiego wtrącają. Ułożyły już one bajkę, że wszyscy kardynałowie kogo innego rekomendowali Papieżowi na ten wysoki i bardzo ważny urząd, zaś o x. Ledóchowskim ani myśleli, bo oczywiście Polak nie może bezstronnie kierować sprawami, od których w znacznym stopniu zależą wewnętrzne stosunki w Niemczech, Rosyi, Irlandyi, we Włoszech, zgoła wszędzie, gdzie katolicy stanowią pewną siłę. Ale Papież ulega teraz wpływom francuskim, więc ku powszechnemu zdziwieniu kolegium kardynalskiego mianował znanego przyjaciela Francyi, x. Ledóchowskiego, robiąc nawet wielki wyłom w tradycyi, podług której prefektem Propagandy wyłącznie bywał Włoch. Teraz niezawodnie popsują się stosunki watykańsko-niemieckie, teraz się stanie to i owo, trzecie i dziesiąte.

Tak lamentują nasi najserdeczniejsi, bo na nich wyniesienie każdego Polaka działa jak roztopiony ołów na ciało. Niechże się uspokoją, niech o dobro Kościoła katolickiego w nagłym napadzie nie dbają więcej od samego Papieża, który niezawodnie lepiej od różnych *Blattów* wie, czego potrzeba Propagandzie Wiary, nie liberalnej, nie masońskiej, ale katolickiej. Ich huk najlepiej dowodzi, że Papież zrobił dobry wybór.

Cesarz Wilhelm II udzielił hr. Zedlitzowi bardzo wysoki order Czerwonego Orła. To już jest druga jego manifestacya za projektem szkolnym. Ale liberałowie nie mogą oprzytomnieć. Pomimo, że Zedlitz w sejmie oświadczył, iż cały gabinet, wszyscy ministrowie są za projektem, jednakże wmawiają oni w publiczność, że najwybitniejsi członkowie rządu: Miquel, Bötticher i Thielen zamierzają podać się do dymisyi, jeśli projekt nie będzie cofnięty, albo już co najmniej bardzo zmieniony. Widocznie chcą zmusić tych ministrów do opozycyi, choć im to ani w głowie. A Bismark w swym dzienniku (*Hamb. Nachr.*) judzi, drwi z posłów, jakoby zbyt uległych, maluje straszydła i krokodyle łzy leje nad przyszłością Prus.

Korespondencye.

Berlin 23 stycznia.

(:) Lament wielki panuje w całej prasie liberalnej Niemiec z powodu zamachów rządu na „wolność osobistą obywateli“. Pod zamachami tymi rozumie ona dążenia rządu do umoralnienia ludu, a więc projekt ustawy przeciw pijaństwu, tudzież drugi projekt, wyszły z inicyatywy samego cesarza, a dążący do zmniejszenia zepsucia obyczajów w stolicy. Zgroza! wołają liberałowie. Właściciel domu nie będzie mógł wynajmować mieszkań komu się mu podoba — bo ustawa nakłada wysokie kary na tych właścicieli, którzy wynajmują mieszkania kobietom prowadzącym gorszące życie. Ale co gorsza, ustawa projektowana nie ogranicza się tylko do tego rodzaju istot, ale bierze także w karby literaturę niemoralną i nakłada kary nietylko na tych, którzy sprzedają niemoralne publikacye, ale także na ich autorów, wydawców i drukarzy.

Jeszcze nie mieli czasu liberałowie rozsrożyć się na dobre przeciwko temu „wstecznictwu“ rządowemu, aż tu nowy grom na nich spadł i to najdotkliwszy — nowa ustawa szkolna, dająca religii szerokie prawa. Przeciw tej ustawie zwrócili teraz wszystkie swoje pociski. Zagłębiają się w las paragrafów projektu rządowego, odkrywają coraz nowe niebezpieczeństwa, zagrażające liberalizmowi, a tem samem i potędze państwa.

Skarżą się, że rząd nie liczy się wcale z opinią najlepszych synów ojczyzny, bo trzeba wiedzieć, że liberałowie z cechującą ich skromnością uważają się zawsze za najlepszych Niemców, przyznając wyznawcom innych przekonań jedynie patryotyzm drugiej klasy. Napadają oni gwałtownie na ministra oświaty, głównego przedstawiciela dążeń „wstecznych“ w obecnym rządzie pruskim i wołają na pomoc dawniejszego swego przywódzcę, a dzisiejszego ministra skarbu. Ale p. Miquelowi, zajętemu oprócz budżetu także gromadzeniem dokumentów szlacheckiego swego francuskiego pochodzenia, potrzebnych mu zapewne do bliskiej, jak się zdaje, nobilitacyi pruskiej, zaczyna się robić duszno od tych nawoływań dawniejszych swych przyjaciół politycznych, z którymi już go nic łączy dzisiaj żadna prawie nić wspólna. P. Miquel, nim jeszcze powołano go na ministra, nazywał dzisiejsze stronnictwa niemieckie, nie wyłączając i własnego, przestarzałemi, nie mającemi w dzisiejszych warunkach prawa istnienia. Rozpaczliwe więc skargi narodowo-liberalnych na zaprzedanie ojczyzny ultramontanizmowi przyjmuje minister skarbu z krwią zimną, a nawet stanowczo zbija rozpuszczoną przez niektóre dzienniki wiadomość, jakoby na radzie ministeryalnej głosował przeciwko projektowanej reformie. P. Miquel, jak wielu z jego poprzedników, znajdujących się w tych samych warunkach, zostawszy ministrem, pożegnał się na zawsze z rolą przywódzcy stronnictwa politycznego i z liberalizmem; celem jego ambicyi jest dziś możliwie dobre wypełnianie obowiązków swego urzędu i w danym razie otrzymanie nagrody w rodzaju tej, jaką niedawno zaszczycono prezesa gabinetu, t. j. korony hrabiowskiej. Zresztą górujący dawniej w pruskim gabinecie wpływ ministra skarbu słabnie widocznie od niejakiego czasu, a zaczynają rej wodzić „hrabiątka,“ jak nazywa organ b. kanclerza arystokratycznych członków gabinetu.

Hrabiątkiem najwięcej znienawidzonem przez tutejsze sfery liberalne, bo wznoszącem się najwyżej po nad swoich kolegów inteligencyą, trzeźwością sądu i zrozumieniem rzeczywistych wymagań bieżącej chwili, jest nowy minister oświaty hrabia Zedlitz. Przeciwko też niemu są głównie zwrócone napaści prasy liberalnej. Dawniej w prasie tej ciągle rozbrzmiewały skargi na zaśniedziały biurokratyzm i formularyzm, panujący w wyższych urzędach pruskich, na opracowywanie projektów praw przez „geheimratów“ nie mających wyobrażenia o rzeczywistych potrzebach życia, obecnemu ministrowi oświaty zarzucają znów dyletantyzm, brak urzędniczych kwalifikacyj, a nawet, rzecz straszliwa! nieukończenie studyów uniwersyteckich. Tymczasem jednak hr. Zedlitz, poparty zupełnem zaufaniem cesarza, nadaje coraz wyraźniej ton całej polityce wewnętrznej; a nadaje go w kierunku, zasługującym na uznanie wszystkich rzeczywistych patryotów niemieckich.

Kronika sensacyjnych wypadków była w ostatnich tygodniach bardzo bogatą. Samobójstw, procesów, skandalicznych plotek było co nie miara. Assystent laboratoryum chemicznego dr. Biedermann zastrzelił narzeczonę, potem siebie; żona pewnego radzcy tajnego uciekła z domu, i tak dalej i tak dalej. Najwięcej mówiono o procesie pani Pragerowej, jednej z gwiazd tutejszego towarzystwa plutokratycznego, ozdoby salonów bankierskich Wolffa, Loevy'ego, Sommerfelda i innych. Zasądzono ją na sześć lat ciężkich robót i utratę praw obywatelskich na lat dziesięć, a brata jej subjekta handlowego Schweizera skazano na pięć lat ciężkich robót za to, że chcieli wyprawić na tamten świat poczciwego dr. Pragera, męża oskarżonej. Dr. Prager jest prawnikiem i żyje z udzielania lekcyj referendaryuszom, przygotowującym się do egzaminu assesorskiego. Małżonkę swą poślubił w r. 1879, lecz wnet wynikły z powodu płochości żony nieporozumienia pomiędzy małżeństwem, które ostatecznie tak się zaostrzyły, że oboje, żyjąc w tem samem mieszkaniu, zupełnie się nie widywali, i że oboje zanieśli skargę do sądu o rozwód. Szanse Pragerowej były niepomyślne, ponieważ mąż był w posiadaniu listów, dowodzących niezbicie, że żona była wiarołomną.

Zacna małżonka postanowiła zatem pozbyć się męża. W tym celu, z bratem swoim, który z powodu malwersacyi powierzonej sobie przez pryncypała sumy w wysokości 1.050 marek, już raz sądownie był karany, umyśliła plan, że brat w czasie snu męża zastrzeli. Jakoż dnia 18 września udało się jej ukryć w mieszkaniu męża brata, który gdy dr. Prager usypiał, — było to około północy — wysunął się ze swej skrytki, ażeby ohydnego czynu dokonać; zgrzyt wszelako butów go zdradził, tak, iż przebudzony tem dr. Prager zapalił świecę, podniósłszy się w łóżku. W chwili tej morderca stojący z rewolwerem tuż obok łóżka, wystrzelił do swojego szwagra i umknął. Schwytano go w kilka dni później w Hamburgu.

Prager wyleczył się ze swej rany dopiero po dwóch miesiącach. Gdy odczytano wyrok, oboje skazani wybuchnęli płaczem, a i mąż obecny rozczulił się. Przyrzekł wiarołomnej swej małżonce, że poda prośbę o jej ułaskawienie do cesarza i oświadczył, że jej wszystko przebacza.

Od dość dawna już ma każdy niemiecki batalion strzelców po dziesięć psów, które w razie wojny mają służyć do przenoszenia rozkazów pomiędzy forpocztami. Jeden z takich psów wojskowych zbiegł w tych dniach batalionowi strzelców w Poczdamie. Żołnierze batalionu tak się tem zmartwili, iż ofiarowali 50 marek nagrody temu, kto im psa tego odszuka.

Kronika paryzka.

Paryż 23 stycznia.

(*W. Z.*) Wtorkowa awantura w izbie deputowanych, gdzie pan minister Constans z nienacka uderzył w twarz posła podczas pełn go posiedzenia, zjednała mu ze strony większości republikańskiej huczne brawo, solenną pochwałę 333 głosów przeciw 44 i tysiące biletów z gratulacyami. Gdyby był wygrał bitwę decydującą o losach Francyi, większych owacyj urządziłby mu nie można. — Warto czytać usłużne rządowi dzienniki paryskie, jak one rozpływają się w uwielbieniu dla tego bohatera pięści. Najgłośniej ryczy z radości żydek Dreyfuss w dzienniku *La Nation*. „Widzieliście go“ pisze on „tego herkulesa Laura, jak zbladł i trząsł się, gdy mu ręka ministra zasłużoną admonicyę dawała? Szanowny ten poseł z Neuilly dostał w pysk i musi to schować do kieszeni.“ — Poważne pisma nie podzielają tych zachwytów. *Journal des Débats* pisze w te słowa: „Członek rządu, wymierzający sobie sprawiedliwość pięścią, i to w pełnej izbie, w obecności ministra sprawiedliwości, to widowisko, zbliżające nas bardzo do stanu natury. To bolesne, to straszne!“ — Inny dziennik pisze, że odtąd posłowie będą musieli wykazać się przed wyborcami, że umieją się boksować, a kto doprowadzi do tej doskonałości, że kopnięciem przeciwnika w brzuch potrafi go w jednej chwili powalić na ziemię, będzie miał dużo szans zostać ministrem.

Niektóre poważne pisma biorą nawet otwarcie w obronę znieważonego Laura, jakkolwiek jest on dla nich bardzo niesympatyczną osobą. — Czy mają racyę, przekonacie się, przeczytawszy dokładny opis tego pamiętnego posiedzenia parlamentu, i wszytkiego, co po niem zaszło.

W rochefortowskim dzienniku *Intransigeant* pojawił się artykuł, zarzucający Constansowi najstraszniejsze rzeczy, jak: kradzież grosza publicznego, obchodzenie prawa, a szczególnie to, że jest cichym spólnikiem pewnej szulerni paryskiej, znanej pod nazwą Café Divan. Bulanżyści Le Senne i Laur wnieśli z tego powodu interpelacyę, wzywającą prezesa gabinetu, aby oświadczył, co rząd zamierza przedsięwziąć w sprawie zarzutów skierowanych przeciw jednemu z jego członków.

Zagaiwszy wtorkowe posiedzenie o czwartej po południu, prezydent izby Floquet odczytał tę interpelacyę. Na ławach republikańskich dały się słyszeć zaraz w pierwszej chwili przekleństwa i ironiczne wykrzyki. Minister Constans poczerwieniał i niecierpliwie kawałki papieru drzeć począł. Szło teraz o to, co zrobić z tą interpelacyą. Republikanin Delpech wstał z miejsca i na cały głos wrzasnął: „Do kanału ją wrzucić!“, czem wielce rozweselił swoich kolegów.

Naraz prezes gabinetu pan Freycinet wstał z miejsca i zażądał uchylenia tej interpelacyi, bo interpelantom — zdaniem jego — idzie głównie o to, aby odczytać ów artykuł *Intransigeanta* w izbie i nadać mu przez to większego rozgłosu. — Na to zażądał Laur głosu, a wszedłszy na trybunę, zaręczał, że interpelanci wcale nie będą czytali tego artykułu, a jeżeli izba odbierze posłom swobodę interpelowania, to pokaże przez to, że chce powagą swoją zasłonić członka rządu, napiętnowanego w opinii publicznej. — Wbrew swemu zwyczajowi Laur przemawiał tym razem bardzo spokojnie. Może właśnie ten spokój zirytował Constansa; dość, że zaperzony zerwał się z fotelu i przez zaciśnięte zęby syknął: „Ja to bydlę nauczę rozumu.“ Freycinet i Etienne siedzący obok niego chwycili go za ręce i chcieli zatrzymać. Constans jednak wyrwał się im i zbiegł po schodach do trybuny, z której Laur najspokojniej schodził. W sali zapanowała grobowa cisza. Naraz pan Constans, zbliżywszy się do Laura, uderzył go z całej siły w twarz. Laur osłupiały cofnął się w tył, a Constans w tej chwili drugi raz go uderzył. W sali zahuczała teraz salwa oklasków z ław republikańskich.

Jakby iskrą elektryczną dotknięci zerwali się bulanżyści z miejsc i z okrzykiem „Złodzieje, rozbójniki, gałgany!“ rzucili się na pomoc Laurowi, który wziął się za bary z ministrem. — Le Senne, niecierpliwy, że nie mógł w jednej chwili wydobyć się z ławki, chciał koledze swemu Laurowi przecież przyjść w pomoc i rzucił grubą książkę na Constansa. Pocisk źle wymierzony chybił. Z republikańskich ław tymczasem nadchodziły już posiłki Constansowi.

Prezydent Floquet zrozumiał, że dzwonkiem nic nie poradzi, więc wdział cylinder na głowę, na znak, że posiedzenie zawieszone, i uciekł ze sali, a za nim ministrowie. Koło trybuny zrobiła się kupa kilkudziesięciu walczących. Jakie tam dusery sobie wzajemnie mówiono, powtarzać nie myślę; a jak się kułakowano! Republikanie, liczebnie silniejsi, odbili wkońcu bulanżystom Constansa, ale z oberwaną krawatką i mocno rozczochraną brodą. W tryumfie wyprowadzono go na korytarz; w sali tymczasem bójka trwała dalej, tylko nie w jednej grupie lecz w kilku. Republikanin Delpech uderzył w twarz bulanżystę Castelina. Castelin rzekł mu na to: „Dobrze, jutro z sobą pomówimy.“ Nazajutrz w pojedynku Castelin przebił szpadą ramię Delpechowi.

Na rozkaz Floqueta wpadła do sali cała armia woźnych i grzecznie popychać zaczęła walczących ku kurytarzom. Operacya ta trwała cały kwadrans. Sala była wreszcie próżną, ale na korytarzach padały jeszcze ostatnie policzki, już nie tylko między samymi posłami, ale pomiędzy posłami i publicznością. — Wiele z tych policzków utonie w fali zapomnienia — jeden wszakże nabrał wielkiego rozgłosu, to jest ten, który dziennikarz Wampse wymierzył posłowi Boudeau.

---

2)

Sztuka i krytyka.

(Ciąg dalszy).

Tem bardziej w obrazie nie należy się szukać myśli filozoficznych lub politycznych, albo religijnych. Chodzi tylko o to, aby były oddane prawdziwe ciała ludzkie i prawdziwe barwy przyrody. Poeta posiada środki, których malarz nie ma, może obznajomić czytelnika z treścią historycznego wypadku, albo ze swojemi przekonaniami, mimo to, że będzie tendencyjnym, będzie zrozumiałym. A któż zrozumie tendencyę obrazu bez komentarza? Francuzi, oglądając na wystawie paryskiej Rejtana Matejki mówili, że to dzielni Polacy wyrzucają za drzwi tureckiego posła, a chwalili obraz tylko za pięknie odmalowane twarze i szaty. Polak nawet przed obrazem Matejki nie może się obejść bez objaśnień, jeśli chce zrozumieć jego historyczną treść i ukrytą tendencyę, a obrazy te są istotnie tyle warte, o ile realistycznie oddają postać ludzką i ludzkie przybory.

Tę prawdę zapoznaje nieustannie krytyka warszawska i krakowska, chwali obrazy historyczne Lessera, Gersona, albo Brożika za to tylko, że są historycznemi i że doniosłe fakta wyobrazić mają, popada w liryczne uniesienie przed Husem Brożika, przyznając jednym tchem, że w tym obrazie nie ma ani kolorytu, ani perspektywy, ani wyższych zalet rysunku. Jest idea, którą ktoś pozna, przeczytawszy komentarz do obrazu, a zatem trzeba się unosić, chociaż na obrazie są same tylko drewniane figurki bez wyrazu, konwencyonalnie ustawione. Taka recenzya, chwaląca obraz mimo braków wszelkich zalet malarskich, jest tylko śmieszna, nic więcej. Szkodliwemi wprost bywają krytyki obrazów Matejki. Jest to artysta o wielkim samodzielnym osobistym talencie umiejącym twarz ludzką i wyraz ludzki, a obok tego także przybory, jako to szaty i makaty oddać po mistrzowsku, tak jak nikt inny w naszem stuleciu, jak mało kto w całych dziejach malarstwa. Że żaden malarz nie jest doskonałym, przeto i Matejko ma różne i liczne błędy. Przedewszystkiem nie rozumie się na kompozycyi i ustawia ludzi tak, że odrazu całości obrazu przejrzeć nie można, nie podporządkowuje przytem przyborów pod głowy i sprawia, że trzeba się każdej części jego olbrzymich płócen przypatrywać z osobna; nie ma żadnego punktu, z któregoby można obraz należycie ocenić, z daleka widzi się całość, ale nie widzi się szczegółów, na których główny nacisk położono. Kto się zbliży tak, że widzi szczegóły wspaniałe, ten już obrazu nie widzi; podobny chaos panuje w kolorycie, barwy przedmiotów dalszych bywają zbyt wyraźne, jeden kolor na drugi nie wpływa, jeden stoi obok drugiego, nie łącząc się z nim w żadną harmonię. Krytyka powinna podnosić zalety i wytykać błędy, zamiast tego popada w niedorzeczny zachwyt przed ideą wyrażoną w obrazie, domyśla się we wszystkiem alegoryi, tłumaczy, że kolor każdej szaty ma jakąś myśl oznaczać, wyszukuje w liniach chaotycznych obrazu jakieś mistyczne znaczenie i w niedorzecznym zachwycie popycha artystę na nowe bezdroża.

Każdy obraz, mający wyobrażać alegorycznie ideę, wygląda tak, jak scena z domu waryatów, nie wyłączywszy Szkoły ateńskiej, Rafaela i Reformacyi, Kaulbacha. Ludzie obok siebie stojący robią rzeczy, których równocześnie robić nie mogą, mijają się ze wszelkiem prawdopodobieństwem, a przecie idei nie tłumaczą, jak chyba dla tego, który ma klucz do alegorycznego hieroglifu. Mimo to, mogą to być obrazy doskonałe, jeśli zresztą są realistyczne. Ale trzeba ażeby alegoryczna intencya była jawną i żeby uwaga widza nie była zwróconą na szczegóły i to na szczegóły przypominające powszednią rzeczywistość. Stroje i przybory powinny być usunięte w głąb i o ile możności traktowane tak generalnie, aby widz był odrazu przestrzeżony, że chodzi o alegoryę.

Kto z takiem zamiłowaniem i z takiem mistrzowstwem jak Matejko maluje indywidualne stroje i staroświeckie materye, ten każe się widzowi spodziewać, że odmaluje jakieś rzeczywiste historyczne zdarzenie, a wtedy jest wielkim błędem, jeźli się ludzie na obrazie zachowują tak, jak się w rzeczywistości zachowywać nie mogli. I w ten błąd popada coraz bardziej Matejko uwierzywszy krytykom, którzy powiadają, że on nie jest malarzem, tylko nauczycielem narodu, królem duchem.

Tak krytycy, jak Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, gotowi do najwyższego podziwu, byle obraz nieudolny przedstawiał oblężenie jakiegoś miasta na Pomorzu, są nieubłagani dla obrazów przedstawiających sceny z powszedniego życia, albo krajobrazy, choćby to były rzeczy najlepiej namalowane. Krytycy powiadają, że to obrazek, a wystawy sztuk pięknych często takich obrazków nie przyjmują, a tymczasem taki obrazek może być zupełnie tyle wart, co najlepszy obraz historyczny a jest nierównie więcej wart od miernego obrazu historycznego, bo powtarzam, że nie przedmiot, a jedynie wykonanie obrazu stanowią o jego wartości i lepszym jest realistycznie wykonany stół straganiarki z jarzynami od miernie wykonanego Chrystusa. Obraz może być malowany bardzo rozmaicie, wedle indywidualnego uzdolnienia artysty, może posiadać rozmaite bardzo zalety, ale musi oddawać prawdę i o to tylko w malarstwie chodzi. Żądanie, aby obraz oddawał koniecznie piękno, jest tak samo niesłuszne, jak żądanie, aby wyrażał jakąś ideę bo piękno jest rzeczą względną; nie każdemu to samo się podoba. Prawda natomiast jest tylko jedna i należy się sądzić dzieło sztuki jedynie od tego, o ile oddaje prawdę.

Niektórzy malarze jak Michał Anioł, Kaulbach i Juliusz Kossak nie dbają o kolor i światłocień, są tylko rysownikami i konturem wyrażają myśl swoją, koloru używają tylko w tej skromnej mierze, że oznaczają ogólnikowo zielony kolor drzew, błękit nieba, blado różowy kolor ciał i barwę każdej szaty; ani subtelności, ani głębokości ani prawdy nie ma w kolorze i jego używanie nie przyczynia się do upiększenia obrazów. Jednak takie obrazy mogą mieć wysoką artystyczną wartość, jeśli tylko oddają rzeczywistą postać i ruch przedmiotów, jak to bywa u trzech wymienionych mistrzów. Fotografia momentalna ogromną przysługę oddaje takim rysownikom, chwytając chwilowe ruchy, których człowiek bez tego nie dostrzeże. Nic nie ma śmieszniejszego nad oburzenie krytyków w obec obrazu z potocznego życia, wołających, że to po prostu fotografia kolorowana. Daj Boże, żeby odkryto kolorowaną fotografie! Krytycy mogą się uspokoić, żadne klęski w skutek tego nie spadną na rodzaj ludzki, nie będzie w skutek tego ani dżumy ani głodu, a takie fotografie będą najdoskonalszymi, bo najrealistyczniejszymi obrazami.

Choć obrazy przedewszystkiem rysowane bywają na swój sposób, doskonale wyobrażają najpierwotniejszy sposób malowania. Głębsze oddanie prawdy wymaga uwzględnienia koloru, i ten kolor uwzględnili już dawno przed Rafaelem najpierw starzy Niederlandczycy, bracia Van Dyk i ich szkoła. Ich sposób malowania zależy na tem, iż dostrzegli uzupełniające kolory, które zmięszane ze sobą tworzą kolor biały i fizyologicznie miłe wrażenie sprawiają na oko. Takiemi kolorami jak najintenzywniejszymi zabarwiali obrazy swoje, i tworzyli przez to jakby makaty nadzwyczaj miłe dla oka.

Wojciech Dzieduszycki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wampse w gronie znajomych swych na korytarzu wyraził głośno zgorszenie swe z tego, iż reprezentanci narodu zachowują się w parlamencie jak w karczmie. Usłyszał to Boudeau i zacietrzewiony zawołał: Panie jestem także posłem i jeżeli pan nie odwołasz tego, coś powiedział, dam panu w twarz. Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy uczuł na swojej twarzy silną dłoń dziennikarza.

Tymczasem Floquet i ministrowie naradzali się w biurze izby, co począć. Constans oświadczył, że przeprosi izbę. Jakoż gdy po pięciu kwadransach pan Floquet otworzył posiedzenie, wszedł pan Constans już w nowej krawatce i wyczesany na trybunę, i głosem tak tkliwym, że skałę mógłby poruszyć, prosił izbę, aby przebaczyła mu chwilę uniesienia. — Któryś z bulanżystów, słysząc te treny, zawołał: „Podły komedyant" — większość republikańska jednak 333 głosami orzekła, że się nie gniewa i uchyliła interpelacę Le-Senne'a i Laur'a. — Około 200 posłów wyszło ze sali przed głosowaniem.

Nazajutrz nie było posiedzenia w izbie. Laur zaraz w pierwszej chwili zdecydował się wyzwać Constansa na pojedynek. Redakcya *Intransigeant'a* zawiadomiła zaraz po wypadku Rochefort'a o tej decyzyi Laur'a. Rochefort nadesłał około godziny 4 rano z Londynu telegram, który tak samo jak i inne następne ogłosiły wszystkie tutejsze dzienniki. Telegram ten brzmiał: „Żaden porządny człowiek nie pojedynkuje się ze złodziejem, demoralizatorem dzieci i szulerem. Nie warto go także pozywać przed trybunał, w którym nie ma sędziów, tylko sami lokaje". W sześć godzin później nadszedł od Rochefort'a drugi telegram tej treści: „Namyśliłem się, najlepiej zrobić tak: Zebrać sąd honorowy i przedłożyć mu całą sprawę, a jeżeli sąd ten uzna, iż można się bić z tą kanalią, posłać mu sekundantów. Tylko odrzucajcie wszystkich podejrzanych świadków Constansa i uważajcie dobrze jak będą nabijać pistolety, aby przypadkiem do pistoletu Laur'a nie zapomniano włożyć kuli".

Jakoż po południu posłał Laur Constansowi swoich świadków: deputowanego Dumonteila i dziennikarza Devilliers'a, polecając im, aby obstawali przy następujących warunkach pojedynku: pistolety i trzykrotna wymiana kul na odległość dwudziestu metrów. Między godziną czwartą a piątą po południu zjawili się świadkowie Laur'a w biurze ministra i zawiadomili go o celu swej misyi. Constans dał im czekać przeszło kwadrans w poczekalni — wreszcie przysłał im swego sekretarza, który odprawił ich temi słowy: Excelencya kazał oświadczyć, że takie rzeczy załatwiają się do dwudziestu czterech godzin. Owóż wypadek w izbie zdarzył się około godziny kwadrans na piątą, teraz zaś dochodzi już szósta, a zatem spóźniliście się panowie. Excelencya nie myśli dawać żadnej satysfakcyi. — Zawiadomiony o tem przez świadków, wysłał Laur telegram do prokuratora jeneralnego p. Beurepaire'a z prośbą, aby w bardzo ważnej sprawie przyjął go jeszcze tego wieczora. Na telegram ten nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Poszedł więc na drugi dzień sam do prokuratora i zameldował się. Kazano mu czekać pół godziny w przedpokoju — wreszcie przyjął go prokurator. Laur prosił go, aby udzielił mu rady, co ma począć, pan Beaurepaire odrzekł mu na to, że nie może rozpoczynać żadnych kroków przeciw ministrowi, chyba, że prezydent izby urzędownie go zawiadomi o tem, że minister popełnił występek. Laur zaśmiał się ironicznie i zrobił prokuratorowi taką uwagę: Przypuśćmy więc, że ktoś zamorduje w izbie posła w obec publiczności i dziennikarzy, a pan Floquet miałby jakikolwiek interes w tem, aby nie donieść władzy o tej zbrodni, czy i w takim razie czekałbyś pan na zawiadomienie prezydenta izby?

Beaurepaire odrzekł na to z uśmiechem, że pan Floquet nigdyby czegoś podobnego nie zrobił. „Zresztą — zakończył prokurator rozmowę — możesz pan wnieść skargę, ale z góry panu mówię, że będzie odrzuconą".

Nie mogąc i tu znaleść sprawiedliwości, wystosował Laur do prezydenta izby Floqueta prośbę, aby zawiadomił urzędownie o całym zajściu prokuratora jeneralnego. Co pan Floquet postanowił, nie wiadomo, — spodziewać się można jednak, że prośba ta pójdzie do kosza.

Dziś śmieją się wszyscy z Laura i jego nieporadności, nawet Dreyfuss uznał za stosowne pójść za przykładem Constansa i odmówić satysfakcyi Laurowi, który go wyzwał na pojedynek za ów artykuł ogłoszony w *Nation*. Świadkom Laura odpowiedział Dreyfuss: „Pan Laur bierze teraz lekcye w strzelaniu — może sobie strzelać do drzew w lasku buloń-kim".

Znalazł się jednak jeden człowiek, który bierze w obronę Laura przeciwko tej całej powodzi obelg i naigrawań. Jest nim znany i ceniony publicysta p. Maurycy Barrés, który zawsze przeciw Laurowi występował, a teraz tak o nim pisze w *Figarze*: „Nie lubię go, gdy z uporem nieprzełamanym stawia błędne tezy w swoim dzienniku *La Guerre aux abus*, ale kocham go od chwili, gdy mu się krzywda stała, od chwili, gdy niesłychany skandal, wywołany przez ministra spraw wewnętrznych, zrobił salę pałacu Burbonów widownią obrzydliwych scen".

Następnie skreśla p. Barrès krótką sylwetkę znieważonego posła. W piętnastym roku życia został Laur sierotą bez ojca i matki, bez żadnego punktu oparcia na świecie. Powieściopisarka George Sand i Dumas syn zajęli się jego losem i dali mu staranne wykształcenie. Chciał zostać literatem. George Sand jednak poradziła mu, aby najpierw wyuczył się jakiegoś zawodu, któryby mu dał chleb, a potem dopiero próbował literackiej karyery, jeżeli będzie miał jeszcze ochotę. „Nie powinno się zaczynać zawodu literackiego — mawiała mu nieraz — nie mając zabezpieczonego utrzymania przynajmniej na lat dziesięć. Jeżeli będziesz miał chleb, wtedy spróbój, gdy będziesz widział, że nie idzie, zatrzymaj się, gdy będziesz miał powodzenie, idź dalej".

Usłuchał rady swej opiekunki Laur, skończył szkołę górniczą w St. Etienne i przez lat kilkanaście był inżynierem w kopalniach Dopiero w ostatnich czasach wstąpił na arenę polityczną. Jest to człowiek uparty ale uczciwy, a broniąc jakiej sprawy, choćby niesympatycznej, czyni to jedynie dla tego, iż wierzy święcie, że słuszność jest po jego stronie. Gdyby we Francyi był inny rząd, nie byłby Laur z pewnością nigdy został bulanżystą. Że powoduje się radami Rocheforta, dziwić się nie można, bo uważa go za istotę wyższą od siebie i kocha go serdecznie.

Rochefort z wygnania swego jak może, tak mści się na Constansie za swego przyjaciela. W jednym z ostatnich numerów *Intransigeant'a* zamieścił taki artykuł: „Manewr z górą obmyślany i wykonany na pełnem posiedzeniu izby przez Constansa, znany jest dobrze w kryminałach. Złodzieje nazywają go „atakiem epilepsyi". Gdy mianowicie sędzia śledczy pytaniami swemi tak przyciśnie zbrodniarza do muru, że dłużej już wypierać się nie może, wtedy złodziej rzuca się na ziemię i udaje konwulsye: wywija rękami, toczy pianę, pochodzącą z kawałka mydła, który przedtem do ust sobie włożył. Tak samo zrobił i minister. Przyparty do muru, zagrał komedyę oburzenia. Tymczasem my mamy w ręku dokument notaryalny, z którego okazuje się, że minister, mający stać na straży moralności swego kraju, jest wspólnikiem ohydnej szulerni, w której grają gry zakazane od rana do nocy i od nocy do rana. Albo nasze twierdzenie było kłamstwem, albo prawdą — nic nie było łatwiejszego jak przekonać się o tem. Ale stary nędznik, nie mogąc zaprzeczyć, uciekł się do skandalu. A teraz graj dalej, graj — stary szulerze".

A teraz nieco z humorystyki.

Oto, jak się po wypadku z Laurem wybiera na posiedzenie deputowany paryzki. Podpatrzył go Millaud z *Figara*:

Żona. A więc to rzecz nieodwołalna? wygłosisz tedy na posiedzeniu dzisiejszem mowę?

Deputowany. Tak, zapisany jestem do głosu. Wszakże to mój obowiązek. Mówić mi wypada, odpowiadać i jeszcze odpowiadać, jednem słowem bronić praw i interesów wyborców moich.

Żona. A przygotowałeś się przynajmniej należycie?

Dep. Poczekaj, zaraz... (przeszukując kieszenie) Tak... Rewolwer jest... Dwanaście ładunków mam... Jest i kastet... Ale, ale, dajno mi jeszcze laskę z gałką ołowianą.

Żona. Masz tu jeszcze rękawiczki.

Dep. Nie, dziękuję ci, rękawiczek nie włożę. Gdyby mi wypadło spoliczkować kogo, przeszkadzałyby mi rękawiczki... Ale, ale... masz tobie, byłbym zapomniał. Oto testament mój. Odeślij go do notaryusza. Mogę zginąć.

Żona (ze łzami w głosie). Co też ty mówisz!

Dep. W pół do pierwszej. Czas w drogę. Przyprowadź mi dzieci, niechże się z niemi pożegnam. Wszakże mogę nie wrócić.

Żona (z płaczem). Mężu... mężu...

Dzieci (rzucając się ojcu na szyję). Co ci to ojcze? Wzdychasz, a mama płacze? Może się będziesz pojedynkował?

Dep. Nie, jadę na posiedzenie... zdobywać wymową... No, no, bywajcie zdrowe dzieciaki... idźcie już, idźcie...

Służący (meldując). Czterej panowie, których pan wzywał, czekają w salonie.

Dep. A, to świadkowie na wszelki wypadek.. Dwie pary, dla pewności.

Pierwszy świadek. Oto jesteśmy. Mam ze sobą szpady i pistolety.

Trzeci świadek. I ja także.

Dep. Wy, Gontranie i Arturze, zatrzymajcie się w sali przyjęć. Wy, Fryderyku i Alfredzie, w podwórzu. Gdy skorzystam z usług Gontrana i Artura, a oni także z kolei zostaną spoliczkowani, wtedy każę was poprosić.

Gontran. I ja zamówiłem sobie dwóch świadków, którzy się do nas przyłączą na wypadek, gdybym potrzebował.

(Wychodzą, kierując się ku pałacowi Bourbonów. Liczne grupy deputowanych śpieszą w tym samym kierunku).

Przechodzień (wskazując ich). Oto deputowani nasi, czy widzisz, jak rozprawiają o losach Francyi?

Pierwszy deputowany. A ja ci powiadam, nie ma jak uderzenie nogą w żołądek przeciwnika, odwracasz się nagle i już...

Drugi dep. Co do mnie, wolę uderzenie głową. Pochylasz się i rzucasz naprzód. W oka mgnieniu przeciwnik traci oddech.

Trzeci dep. Wszystko to razem nie warte dobrego sztyletu toledańskiego. Ot, tak między piąte a szóste żebro...

Woźny. Panowie deputowani, proszę na salę posiedzeń.

Floquet (myląc się). Do broni! panowie!.. Przepraszam, chciałem powiedzieć: posiedzenie otwarte.

Kronika.

Lwów 28 stycznia.

Marszałek krajowy, JE. Eustachy ks. Sanguszko wyjechał do dóbr swoich Gumniska (pod Tarnowem).

Mianowania. Radzcy sądowi pp.: Ludwik Krzyżanowski, dr. Bronisław Wollf i Góra zostali mianowani starszymi radzcami wyższego sądu krajowego w Krakowie.

Rada szkolna krajowa zamianowała Mikołaja Niedźwieckiego nauczycielem 4-klasowej szkoły ludowej w Podhajcach, Stanisława Woźnego nauczycielem szkoły etatowej w Łężynach, Konstancyę Werecką nauczycielką 2-klasowej szkoły ludowej w Frysztaku, Władysława Nowickiego nauczycielem szkoły etatowej w Nowosiółce nad Zbraczem, Józefa Puszkara nauczycielem 2-klasowej szkoły ludowej w Wólce mazowieckiej, Józefa Dadsiaka nauczycielem 1-klasowej szkoły filialnej w Iszanie górnej, Edmunda Buliczka kierującym nauczycielem 2-klasowej szkoły ludowej w Stebniku, Maryę Błachońską drugą nauczycielką 2-klasowej szkoły ludowej w Zabierzowie; Teodorego Tofana nauczycielem szkoły etatowej w Budzyłowie.

Rada szkolna krajowa uchwaliła na posiedzeniu z dnia 25 stycznia br.: zatwierdzić wybór p. Bronisława Gorczyńskiego na reprezentanta Rady powiatowej do Rady szkolnej okręgowej w Wadowicach; przekształcić szkoły filialne w Hanusowcach (pow. Stanisławów) od 1 lutego 1892 r., i w Rychwałdzie (pow. Gorlice) od 1 września 1892 na etatowe; przemienić jedną posadę młodszej nauczycielki w 5-klasowej szkole ludowej żeńskiej w Trembowli na posadę z pełną płacą od 1 lutego 1892; zreorganizować szkołę etatową w Mogile od 1 września 1892 r. na 2 klasową o dwu nauczycielach z pełną płacą; przekształcić 2-klasową szkołę ludową w Mostach wielkich od 1 września br. na 4-klasową, o trzech nauczycielach z pełną płacą i jednym nauczycielu młodszym; zorganizować od 1 września 1893 4-klasowe szkoły ludowe męską i żeńską w Przemyślu, każdą o czterech nauczycielach z pełną płacą; zorganizować w Łachodowie (pow. Przemyślany) szkołę etatową od 1 września br.

Biskupi ruscy w Stanisławowie i Przemyślu mieli otrzymać — jak donosi *Diło* — po 12.000 zł. rocznej dotacyi.

Wiadomości dyecezyalne W archidyecezyi lwowskiej obrz. łac.: Administratorem w Założcach zamianowany miejscowy wikaryusz ks. Leonard Moczarowski. *Expos. can.* odznaczony: ks. Dwornicki, proboszcz w Uhnowie. Zmarł ks. Wenanty Pielecki, proboszcz w Założcach, ur. 1823.

W dyecezyi przemyskiej: ks. J. Luśniak, przeniesiony z Leżajska do Sanoka, a ks. Józef Urban z Sanoka do Leżajska. Zmarł ks. Stan. Pelczar w Korczynie, ur. 1863; ks. Fr. Prusak, administrator w Frysztaku, kan. instytuowany na toż beneficyum, zaś ks. W. Frydel, administrator w Komarnie, na probostwo w tej samej miejscowości.

W dyecezyi krakowskiej: Zmarł ks. Jan Krajger, proboszcz w Brzeziu, jubilat, radzca honorowy kuryi biskupiej, wicedziekan niepołomicki, ur. 1816. Mianowany ks. W. Niedojadło, wikaryusz w Jordanowie, katechetą w szkołach w Jaworznie. Przeniesieni: ks. W. Jasica z Raciborowic do Jordanowa, ks. J. Skoczyński z Osielca do Raciborowic, ks. Fr. Prezentkiewicz z Bobrku do Ślemienia, ks. Wł. Reinfuss przeznaczony do Bobrku, ks. K. Jary z Kęt do kościoła Wszystkich Świętych w Krakowie, ks. S. Górowiecki z Bieńkówki do Myślenic, ks. A. Rajski z Krakowa do Morawicy i ks. W. Parcza z Morawicy do kościoła św. Anny w Krakowie.

Za zezwoleniem Namiestnictwa zmienili nazwiska swoje alumni IV sem. dyec. „Ziaja" na Alpiński i „Noga" na Hortyński.

Administratorem w Brzeziu ustanowiony ks. M. Piechota, miejscowy wikaryusz.

Poseł Julian Romańczuk zachorował w Wiedniu na karbunkuł.

Dnia 25 b. m. lekarze prof. dr. Albert i dr. Hryńczak dokonać mieli operacyi. Wieść o chorobie tego czcigodnego posła wywołała wszędzie przykre wrażenie. Cieszymy się jednak nadzieją, iż pod opieką wiedeńskich lekarzy powróci on wkrótce do zdrowia i nadal pracować będzie z pożytkiem dla kraju i ruskiego narodu.

Z Towarzystwa prawniczego lwowskiego. We czwartek dnia 28 bm. o godzinie 7mej wieczór odbędzie się w Towarzystwie prawniczem lwowskiem sesya informacyjna z pogadanką. Adw. dr. Kulikowski referować będzie: „O projekcie zmiany jurysdykcyi sądowej w sprawach pupilarnych". Dr. Ungar: „O egzekucyjnem przyznaniu".

Śluby. W Stanisławowie pobłogosławione zostaną dnia 6 lutego w tamtejszej gr. kat. katedrze dwa związki małżeńskie, a mianowicie pomiędzy p. Lesickim i panną A. Czaczkowską, tudzież pomiędzy p. Kokurudzem, profesorem gimnazyalnym, a panną J. Czaczkowską. Obie panny młode są córkami dyrektora stanisławowskiej szkoły realnej pana Józefa Czaczkowskiego.

Z Towarzystwa Przyjaciół uczącej się młodzieży „Głodne dzieci". Na obiady dla „głodnych dzieci" złożono dalej w biurze c. k. Rady szkolnej okręg miejskiej w ratuszu: Na ręce p. A Pogłodowskiego: Stanisław Niezabitowski i Stanisław hr. Wiśniewski po 50 złr. 100 złr.; Wydział krajowy 100 złr.; podczas wigilii akademickiej zebrano 2 złr. 18 ct.; Michalina Maramoross 1 złr.; Sokoły 1 złr. 11 ct.; M. W. z Podhajec 1 złr.; Julia Opolska 3 złr.; Dr. Kroziński Włodzimierz, 5 złr.; Władysław Ścieżyński 1 złr.; Dr. Emanuel Roiński 50 złr.; Antoni Pfeiffer, 3 złr.; hr. Potulicki 10 złr.; Miecio Majewski 1 złr.; Matyskiewiczowa 4 złr.; na listę p. Gurówny, 8 złr.; Józefa Sierakowska, 2 złr.; E. Krzysztofowicz z Załucza 3 złr.; Kazimierzowie Cieńscy z Uwisły p. Chorostków 3 złr.; Józef Krzysztofowicz z Szył p. Nowe Sioło 3 złr.: na ręce sekretarza p. Mikołaja Haraszkiewicza z puszki od gości w pokoju do śniadań p. Tomasza Najserka 2 złr. 14 ct.; zamiast honoraryum za naprawę portretu p. Tomasza Najsarka, p. Kopystyński 5 złr.; administracya *Przeglądu* 92 złr.

Oświetlenie elektryczne otrzyma wkrótce Warszawa, albowiem tamtejsze Towarzystwo gazowe, które ma kontraktowo zawarowany przywilej na długi szereg lat do oświetlenia miasta, postanowiło wybudować własną stacyę centralną i zobowiązało się co roku na 5 wiorstach ulic m. Warszawy dokonać zamiany światła gazowego na elektryczne. Koszt stacyi centralnej obliczono na 600.000 rs., początkowo dostarczać będzie ona 5000 lamp żarowych o sile 16 świec. Cena lampy na godzinę wyniesie 3 kop., ci konsumenci zaś, którzy zużyją światła więcej niż przez 800 godzin rocznie otrzymają znaczny rabat.

Czy my we Lwowie doczekamy się kiedy elektrycznego światła? Może przyszła Rada miejska, która dziś wyjdzie z urny zajmie się więcej dobrem miasta, zaprowadzi lepsze oświetlenie i kanalizacyę i postawi gród nasz na równi z innemi miastami europejskiemi.

Urodziny cesarskie w Poznaniu. Polacy w Poznaniu, pragnąc dać dowód wdzięczności cesarzowi niemieckiemu, za łaskę okazaną im w sprawie obsadzenia stolicy arcybiskupiej, postanowili w dzień urodzin cesarza obchodzić uroczyście W tym celu wezmą oni—po raz pierwszy od czasu dokonania zaboru pruskiego — oficyalny udział w uczcie, wyprawionej na cześć cesarza, oraz iluminować będą swe domy. Inicyatorami tej demonstracyi są według *Kuryera Poznańskiego* kanonicy archikatedralni.

Kuryer Poznański poświęca cesarzowi w dniu jego urodzin wstępny artykuł, w którym podnosi, jak głęboko zakorzenione jest w społeczeństwie naszem uczucie czci i poszanowania dla majestatu monarszego.

Ze Stanisławowa dochodzą nas skargi na niemożliwe zachowanie się tamtejszej młodzieży szkolnej. Rygor i nadzór nad uczniami bywają zastosowywane tylko w szkole, poza nią dzieją się rzeczy, którym się nie chce dać wiary, a nikt na to nie zwraca uwagi. Wieczorami gromady młodzieniaszków napadają przechodniów, szczególnie panie i panny, prześladując je niesmacznemi żartami, a ufne w swą nieograniczoną swobodę posuwają się często do zuchwalstwa. Najprzykładniej zachowują się uczniowie szkoły realnej, za to seminaryum i gimnazyum dostarczają największego kontyngensu niesfornych młodzików. Możeby przecież odnośne władze położyły kres tym wybrykom.

Pamięć jenerała Hauke Bosaka użyły pisma francuskie dla nowej reklamy braterstwa francusko-rosyjskiego. Pisząc bowiem o uroczystości, jaką mieszkańcy Dijonu chcą urządzić w rocznicę śmierci naszego jenerała, podniosły, iż jest ona nowym objawem sympatyi Francuzów dla Rosyi, której jeden z najdzielniejszych synów znajdzie pomnik na ziemi francuskiej.

Na to przesłała hrabina Jabłonowska do redakcyi *Figara* sprostowanie, w którem przypomina Francuzom, że Bosak nie był nigdy Moskalem, tylko najlepszym synem Polski. Chociaż okrzyk „Vive la Russie" — pisze hr. Jabłonowska — jest dziś modny we Francyi, jednakże nie powinien on przytępiać w Francuzach najszlachetniejszego z uczuć t. j.: wdzięczności. Zostawcie Polakom przynajmniej sławę, iż ginęli za Francyę."

Z Brzozowa donoszą nam:

Dnia 24 bm. odbyła się w Dydni w powiecie brzozowskim za staraniem miejscowego proboszcza ks. kan. Szczęsnego Biesiadeckiego piękna uroczytość „jasełek". Uroczystość ta wypadła nad spodziewanie dobrze, a to głównie dzięki staraniom i pracy pani Alojzy Szafrańskiej, nauczycielki z Krzywego, która wyuczyła dziatwę śpiewów i sporządziła własną ręką bardzo ładne stroje dla dzieci.

Sala szkolna, w której odbyły się „jasełka", była zapełniona okoliczną szlachtą i inteligencyą, a szczodrze składane datki przyczynią się do upiększenia miejscowego parafialnego kościoła.

Z powodu głodu w Rosyi wydano rozkaz zmniejszenia we wszystkich więzieniach o 20 procent codziennych porcyj, a to na rzecz głodem dotkniętej ludności. — Rozkaz ten otworzy nowe pole dochodów dla dozorców więziennych i urzędników. Będą oni bowiem dawali więźniom porcye z pewnością mniejsze więcej niż o 20 pct., gdyż trudno ich będzie w tej czynności skontrolować, a z oszczędności tej uzyskane kwoty nie popłyną na rzecz głodem dotkniętej ludności, lecz wpłyną do zawsze chciwych i głodnych kieszeni czynowników.

W pogrzebie ś. p. kardynała Manninga wzięło udział 15 biskupów i przeszło 500 księży. Pochodowi żałobnemu mimo mgły gęstej towarzyszyły olbrzymie tłumy publiczności, które obliczano na 200.000.

Z Rzeszowa donoszą nam: Wiecie już zapewne, że Wydział krajowy wydelegował radzcę p. Michalczewskiego w celu przeprowadzenia dokładnej lustracyi tutejszej gospodarki miejskiej, która od pewnego czasu nie cieszy się najlepszą opinią. Datuje się to mianowicie od owej chwili, kiedy dawniejszy burmistrz, zacny i szanowany powszechnie p. Pogonowski, wraz z kilku innymi poważnymi radnymi złożyli urzędowanie, nie mogąc pogodzić się ze systemem gospodarki wprowadzonej przez większość rady miejskiej. Po rezygnacyi p. Pogonowskiego objął jego funkcye adwokat i zastępca burmistrza dr. Fechtdegen. Od chwili ustąpienia p. Pogonowskiego, rozpoczęła się era nieograniczonej gospodarki kliki żydowskiej, na której czele stał p. dr. Zbyszewski...

Zamknięcie rachunków za rok 1891 wykazało fikcyjny większy dochód o 20.067 złr., a wydatki niby to mniejsze o 23.455 — w rzeczywistości jednak teraźniejsza rada nie tylko nic nie zaoszczędziła, ale przeciwnie zaprzepaściła 40.344 złr., z których zapewne władze, do których to należy, zażądają ścisłego rachunku.

Kres takiej gospodarce położyła dopiero pewna część obywateli miasta, domagając się przeprowadzenia lustracyi w gminie. Tymczasem zaszedł wypadek, który wywołał ogromny popłoch w całej klice żydowskiej. Oto p. Fechtdegen powróciwszy w nocy z 22 na 23 ze Lwowa, przesłał niespodziewanie do rady miejskiej pisemną rezygnacyę z godności wiceburmistrza miasta, pożegnał się z urzędnikami magistratu i oddał klucze do rąk dr. Koppla. Rezygnacya ta i pospiech w usunięciu się od spraw miasta dały dużo do myślenia, tem bardziej, że nie wiedziano jaki jest właściwy powód tego pośpiechu.

Zaraz nazajutrz dowiedziano się o tem. Oto Wydział krajowy na posiedzeniu odbytem w piątek d. 22 bm. uchwalił jednogłośnie przedstawić namiestnictwu wniosek złożenia z urzędu wiceburmistrza Fechtdegena i uznania go na przeciąg trzech lat niezdolnym do pełnienia obowiązków radnego, a zarazem wniosek rozwiązania rady gminnej Rzeszowa. P. Fechtdegen dowiedziawszy się o tej niespodziance, zaraz na drugi dzień zrezygnował ze swych godności. W ten sposób straci miasto nasze na jakiś czas samorząd, ale zyska natomiast energiczniejszą i lepszą, niż dotąd, gospodarkę.

Ciemnota ludu. Z Raniżowa w powiecie kolbuszowskim piszą do nas dnia 22 bm.:

Kilka dni temu mieszkańcy naszego miasteczka z przerażeniem spostrzegli, że psy włóczą po ulicy rękę dorosłego człowieka. Dano znać o tem miejscowej żandarmeryi, która natychmiast udała się na tutejszy cmentarz miejski, a następnie na cmentarz kolonistów niemieckich, nie dostrzeżono jednak, żeby który grób był naruszony. Dopiero udawszy się na tak zwane „okopisko" żydowskie, znaleziono jednę mogiłę zrujnowaną, a trup, pochowany tam przed kilku dniami, miał obcięte ręce i głowę. Sprawę oddano sądowi sokołowskiemu.

Karygodnego, wstrętnego i niesłychanie przykrego czynu tego dopuścili się prawdopodobnie nasi włościanie. Wierzą oni bowiem niezachwianie, że najlepszem lekarstwem na tyfus jest okadzenie chorego zwłokami żyda. — W Woli raniżowskiej są dwie osoby chore na tyfus i mieszka tam sławna na całą okolicę lekarka (znachorka). Prawdopodobnie ona zaordynowała powyższe leczenie; jeden włościanin zeznawał bowiem, że przechodząc koło jej chaty, czuł bardzo nieprzyjemną woń spalenizny.

Możliwem jest jednak, że sami żydzi dopuścili się tego czynu. Faktem bowiem jest, że zmarły nigdy nie chorował, że nigdy go nie spotkało to, co ludzie w ogóle nazywają nieszczęściem, i każdy interes zawsze mu się powiódł. — Taka „szczęśliwa ręka" i „szczęśliwa głowa" jest u ciemnych żydów rzeczą łakomą; nie wiemy tylko, czy również „okadzania" potrzebują. W każdym razie główną rolę odgrywa tu zabobon

Głód w Rosyi. Z Petersburga piszą 23 bm. do *Pol. Corr.* Rząd rosyjski zakazał jak najostrzej dziennikom donosić o postępach klęski głodowej i przedstawiał w prawdziwem świetle stosunki, jakie panują w trzydziestu guberniach nawiedzonych głodem. Wskutek czego przeważna część ludności nie ma prawie żadnych informacyj o położeniu tych prowincyj. Ale osoby, które ztamtąd przyjeżdżają albo otrzymują listy, zapewniają, że nędza wzrasta z dniem każdym, choroby zaraźliwe na ludzi i na bydło pochłaniają niezliczone ofiary, a w wielu miejscach chłopi dopuszczają się rabunków i gwałtów, do których głód ich zmusza. Całe hordy wynędzniałych i na pół zdziczałych ludzi włóczą się od wsi do wsi, roznosząc wszędzie postrach. Wielu właścicieli ziemskich pozostawiło majątki swe na opatrzność boską a sami pouciekali do miast, nie mogąc żyć w ciągłej obawie o bezpieczeństwo osobiste. Władze rozwijają dość energiczną czynność, ażeby ratować bodaj w części groźną sytuacyę, ale nic nie pomaga. Wzdłuż linii kolei kaukazkiej nagromadzone są olbrzymie zapasy zboża przeznaczonego dla głodnych gubernij, ale cóż, kiedy nie można go tam dostawić z powodu strasznych zawiei, z powodu braku jakichkolwiek środków transportowych dla przewiezienia ładunków zboża ze stacyi kolejowych do miejsc dotkniętych głodem, a nareszcie z powodu nieuczciwości czynowników.

---

34)

GĄSIORKOWSKI

POWIEŚĆ

przez

W. Kosiakiewicza.

(Ciąg dalszy).

Panna Kazia staje się poważniejszą trochę i uspokaja go przeczącem potrząśnięciem głowy.

— Nie zgadnie pan sam.

No! i nic dziwnego, bo tego jegomościa nie zna. Pewien pan Adamowski czy Adamkiewicz. nawet nazwisko jego dobrze nie jest znane. Człowiek lat czterdziestu może...

Poznał Kazię u Janickich przed dwoma tygodniami, złożył parę wizyt Balskim, na które nie zwracano żadnej uwagi, i nagle, jak bomba, wystąpił z oświadczynami.

Panna Kazia śmieje się serdecznie z tej impetyczności pana Adamowskiego czy tam Adamkiewicza.

Śmieje się i Gąsiorkowski, niepotrzebując już dopytywać się, czy pan Adamowski czy Adamkiewicz dostał kosza równie formalnego jak oświadczyny, i jaką miał wtedy minę.

Uśmiecha się i mama Balska i szepcze na stronie do Gąsiorkowskiego:

— Dziewczyna ma szczęście.

— Nic dziwnego — odpowiada Gąsiorkowski z przekonaniem.

Jestto jeden z najpiękniejszych jego dni. Wychodzi rad i wesół, czuje w sobie jakieś niewypowiedziane uszczęśliwienie i oddaje całego siebie marzeniom.

Tymczasem Rozprzycki zamiast napisać, jak obiecał, sam wpadł do Warszawy.

Wszystko było gotowe na przyjęcie gości. Dworek obszerny i wygodny, ogród, las, rzeka — marzenie jednem słowem.

Ponieważ panie nie odrazu mogły się wybrać na wieś, Rozprzycki czekał na nie w Warszawie, mając sobie za obowiązek towarzyszenie im w podróży. Aby zaś nie tracić czasu, całe ranki poświęcał wczytywaniu się w dzieła agronomiczne i zapewniał, że do roli i pracy na niej nabiera prawdziwego zamiłowania; kto wie, może — doprowadziwszy porządnie zdewastowane gospodarstwo do ładu — porzuci swoję mechanikę, której zresztą umie dosyć, i wyjedzie do Zurychu, ale już na wydział agronomiczny. Co to można zrobić z Lesina (tak się nazywa jego wioska), cacko pod każdym względem, ale nadto cacko, dające dochód, o jakim się naszym domorosłym agronomom ani nie śniło.

Urządzano tymczasem codziennie spacery po obiedzie. Rozprzycki z panną Kazią w pierwszej parze, a Gąsiorkowski z mamą Balską w drugiej parze.

Kilka razy Rozprzycki przyniósł bilet do loży. Poszli we czwórkę do teatru.

To jednak krępowało Gąsiorkowskiego.

— Słuchajno — rzekł pewnego razu — te bilety bierzemy na spółkę.

Rozprzycki uściskał go.

— Poczciwy Gąsior!... Dajże pokój. Wszak widzisz, że u mnie ten wydatek mało znaczy. Robisz mi przyjemność, towarzysząc do teatru i ja jestem twoim dłużnikiem.

— No, no, daj pokój...

Kontent był Gąsiorkowski, gdy się te grzeczności skończyły wyjazdem na wieś.

Sam nie pojechał razem z nimi. Urlop uzyskał z łatwością, ale ponieważ kilku kolegów jego z biura było nieobecnych, przeto musiał jeszcze tydzień lub dwa poczekać na powrót któregokolwiek z nich.

Wacek także nie pojechał na wieś. Wpadł był do Warszawy tylko na dwa dni i zaraz wyjechał do Wilna, gdzie korzystne, jak na początek karyery, znalazł zajęcie.

Te parę tygodni wyczekiwania na możność pojechania na wieś były bardzo ciężkie dla Gąsiorkowskiego.

Teraz dopiero poznał, jak mu brak całego domu Balskich, do którego przywykł bardziej, niż do własnego. Nie wiedział, co ma począć z temi godzinami wolnemi, nie umiał sobie wynaleść rozrywki ani zajęcia.

Przesiadywał w domu z matką.

Pani Gąsiorkowska od roku już odstąpiła swój sklepik wiktuałów i pędziła sobie życie spokojne i bezczynne, które jej się prawnie należało.

Trochę wiedziała bezpośrednio, a trochę domyślała się planów syna względem panny Balskiej.

Nie była za tem.

Jej zdaniem zbyt to niska sfera dla jej syna, i panna niedostatecznie posażna.

Przytem miała niechęć do „bogatych" Balskich, — którzy wcale nie byli tak znowu bogaci, — głównie za ich pychę i dumę, Te ostatnie wady po prostu uroiła mama Gąsiorkowska, która kilkakrotnie na prośbę syna, była z wizytą u pani Balskiej i zachowywała się tam tak dumnie i napuszenie, że ledwie z nią można było mówić.

Z jej powodu niepodobna było utrzymać dłuższych między kobietami stosunków, chociaż pani Balska bardzo sobie przez pewien czas tego życzyła.

Pannę Kazię nazywała mama Gąsiorkowska również „pyszniącą się, jak papuga, ze swojej kamienicy" (kto wie, czy nie odłużonej?)

Dla Zosi tylko miała trochę względów, gdyż mała zawsze całowała mamę Gąsiorkowską w rękę, jak na powitanie, tak na pożegnanie.

W jej oczach, cała rodzina Balskich nie robiła nic innego po dniach całych, tylko się przed światem pyszniła ze swojej kamienicy i salonu z fortepianem (starym gratem nic nie wartym).

Nareszcie doczekał się Gąsiorkowski dnia tego, w którym mógł zdać koledze swoje księgi buchalteryjne i wyjechać na wieś.

Jechał z radością, jak niewolnik, oswobodzony z więzów, ciekawy, jak tam ułożyło się bez niego życie, i przygotowany na liczne opowiadania i mamy Balskiej, i Zosi, i panny Kazi.

Widział już w wyobraźni pannę Kazimierę, opowiadającą z tym filuternym uśmiechem świadomości siły własnych wdzięków o Rozprzyckim, jako o nowym „trupie".

Gąsiorkowski szczerze się obawiał o kolegę.

Pobyt na wsi śród natury, która usposabia serce do marzeń, przy istocie tak strasznie niebezpiecznej, jak panna Kazia, mógł dla tego poczciwego Rozprzyckiego niedobrze skończyć.

Zresztą stawało się widoczne, że już od pierwszego wieczoru spędzonego u Balskich, piękna dziewczyna, w miarę czasu, w miarę składanych wizyt, spacerów do Łazienek, zdobywała coraz silniej... Wszystko o tem świadczyło, — głównie to naklanianie gościnne do pobytu na wsi...

Gąsiorkowskiego powitano okrzykami radości.

— Pana nam tylko brakowało, — rzekła do niego mama Balska.

— Tęskniłam za panem, — powiedziała mu panna Kazia.

Zosia była uszczęśliwiona.

Rozprzycki ściskał go od czasu do czasu, wołając:

— Poczciwy Gąsior!

Posadzono go zaraz do stołu i dano mu obficie wiejskiego jadła i napoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wników, którym zapasy te powierzono. Szczególnie ta ostatnia plaga tak się dała już we znaki, że w sferach rządowych myślą nad tem, ażeby każdemu czynownikowi dodać niby do pomocy, w rzeczywistości zaś dla kontroli oficera, o znanej rzetelności. Podobno dziesiątki oficerów wysłano już nawet w charakterze takich kontrolerów dla powstrzymywania nieczystych popędów czynowników. Komitet ratunkowy ma wkrótce wydać znowu 1,200,000 losów loteryi narodowej na dochód głodnych.

Z Paryża donoszą: Krwawy dramat rozegrał się w tych dniach na bulwarze Magenta. Niejaki Langlois, kupiec dość zamożny, zaślubił niedawno ubogą, ale uroczą panienkę. W kilka dni po ślubie wybuchły jednak między młodą parą nieporozumienia i przyszło nawet między nimi do gwałtownych scen, czego rezultatem było, iż pani Langlois nie chcąc żyć z mężem, powróciła do domu matki swej pani Lefore. Wszelkie czynione próby, aby pogodzić zwaśnionych małżonków spełzły na niczem, gdyż młoda p. Langlois nie chciała się więcej narażać na brutalne obejście ze strony męża. Małżonkowie żyli więc rozłączeni przez kilka miesięcy. Przed kilku dniami pan Langlois, przyszedł do domu swej teściowej, rzekomo w celu uczynienia jeszcze jednej próby, czyby mu się nie udało przebłagać żony. Pani Langlois wiedząc się z mężem nie chciała, lecz w końcu zniewolona namową matki wyszła do niego. W tej samej jednak chwili, gdy Langlois zobaczył żonę wchodzącą do pokoju, porwał za rewolwer i dwoma strzałami położył ją na miejscu, a następnie wystrzelił do siebie i zranił się śmiertelnie.

W jednym z domów przy ulicy Beaurepaire mieszkała stara kobieta, słaba i niezdolna już do pracy, z synem niedołężnym fizycznie i wskutek tego również niezdolnym do wszelkiej pracy. Biedni ci ludzie żyli tylko z nędznych datków, jakich udzielali im znajomi i sąsiedzi. Uprzykrzyło się im jednak to życie bez jutra, pełne biedy i niedostatków i postanowili umrzeć. W tym celu ustawili na środku pokoju piecyk i nakładli doń węgli. Czad, który się z węgli wydobywał powoli zaczął się rozchodzić po całym pokoju. Gdy na drugi dzień rano wszedł ktoś ze znajomych do ich mieszkania, zastał matkę i syna nieżywych. Na stole leżał list, który opiewał: „Pracować nie możemy, żyć z czego nie mamy, obojgu nam będzie lepiej na tamtym świecie“.

Z Izby sądowej. Romanowa, oskarżonego o zbrodnię kradzieży w filii urzędu pocztowego przy ul. Sobieskiego, sądzono, przysięgli uwolnili jednogłośnie od winy.

Dzienniki rzymskie zajmują się jeszcze ciągle pożarem w pałacu Taidy hr. Rzewuskiej, o którym pisaliśmy. — Zgliszczów mieszkania pilnuje policya. W popiołach i gruzach urzędnik policyjny znalazł blaszaną szkatułkę hr. Rzewuskiej, zawierającą 21 tysięcy franków w banknotach. Banknoty te zgorzały w części, ale wszystkie liczby i porządku były widoczne, tak, iż właścicielka bez trudności zmieniać je może w „Banca nazionale“ na inne. Znalazł się też inny metalowy kuferek, w którym policya odkryła kilkaset napoleondorów w złocie, dwa rzędy pereł oryentalnych, brylantowy dyadem, kolczyki, bransolety, srebrną cygarniczkę brylantami wysadzaną. Złoto i srebro klejnotów stopniało, ale napoleondory były całe. W popiele lśniły naszyte sztaby stopionego srebra.

Natomiast wszystkie pamiątki podhoreckie, sprowadzone od lat kilku do Rzymu, makaty, gobeliny, kobierce tureckie, słynne koronki brabanckie i inne zabytki, stały się pastwą ognia. Hrabinie zostało tylko szczęście, że z tego to, co w zgliszczach znaleziono. Właściwy jednak majątek hrabiny znajduje się w bankach — to co zginęło w płomieniach jest tylko cząstką. W Rzymie nie pamiętają pożaru, który by szerzył z taką gwałtownością i zniszczył dom cały do szczętu. Zgorzała też podobno część archiwum podhoreckiego z listami panujących i niezmiernie bogatym zbiorem rękopisów Henryka Rzewuskiego autora „Listopada“.

Dzienniki włoskie donoszą o pożarze, podają nazwisko hr. Rzewuskiej w najrozmaitszej pisowni i brzmieniach: *Don Chisciote* zwie ją: Tchebuska, *Messagero*: Rzweska; *Folchetto*: Naduska; *Popolo Romano*: Raduska; *Fanfulla*: Rzewuska. Jedna tylko *Tribuna* podaje poprawnie nazwisko: Rzewuska.

Fałszywe guldeny srebrne pojawiły się w znaczniejszej ilości w naszem mieście. Wczoraj zakwestyonowała policya znowu kilka falsyfikatów. Zarządzono energiczne poszukiwanie celem wykrycia fałszerzy.

Temperatura. Termometr rano — 8, w południe — 2° R. Barometr 760°. Spadł. Rano był dość silny mróz, w południe przy pogodzie słońca ustał nieco. Dzień pogodny.

Zmarli. Józef Mecherzyński, starszy inżynier kolei południowej w Rosyi, obywatel honorowy miasta Odessy, wychowanek szkoły technicznej krakowskiej, zmarł w Krakowie w 43 roku życia. — Teresa z Michalskich Śmiałowska, wdowa po lekarzu powiatowym, opiekunka więźniów stanu z roku 1846, uczestniczka organizacyi narodowej z roku 1863, zmarła w Krakowie w 65 roku życia. — Dezydery Bucholski, słuchacz praw, zmarł w Stryju, w 25 roku życia. — Sylwester Jan Kamberski, towarzysz korporacyi krawieckiej i członek kasy chorych, zmarł we Lwowie. — Marya Pasek, żona piekarza i członka stow. rękodz. lwow. „Gwiazda“, przeżywszy lat 60, zmarła we Lwowie. — Bonifacy Kowalewski, ck. oficyał Namiestnictwa i członek Towarzystwa „Czynnej miłości bliźniego“, zmarł we Lwowie.

Wybory do Rady miejskiej. Dziś już od rana wielki ruch panował przed ratuszem gdzie się odbywają wybory do Rady miejskiej. W samym ratuszu porządek utrzymuje straża magistracka. Przed ratuszem roją się tłumy ciekawych, oraz najętych agitatorów, którzy głośnemi okrzykami, zalecają listy swoich kandydatów. Dziś pojawiło się list kilkanaście. Rozdawane przez pomagaczy kartki donoszą, iż w komitecie mieszczańskim nastąpiło w ostatniej chwili rozdwojenie — to też kursuje z coś aż pięć list komitetu mieszczańskiego. Oprócz tego istnieją listy: z obywateli i z osobistej kwalifikacyi, miejskiego, polsko-ruskiego, niezawisłych, właścicieli realności, ruskiego, związku mieszczańskiego, zjednoczonego związku mieszczańskiego i kilka innych.

Do godziny 1 w południe głosowało przeszło 1500 wyborców. Dotąd ma większość lista miejska. Która z list zwycięży niewiadomo, gdyż dopiero po południu zaczną wyborcy licznie głosować, bo wielu z nich jak np. urzędnicy rano nie mieli czasu. Bardzo wiele osób oddaje listy ułożone przez komitet wyborców z osobistej kwalifikacyi.

Starokawalerska zazdrość. Z Rzymu piszą: Znany był przed kilkunastu laty w Rzymie malarz religijny, Nowotny, który pracował szczególnie w domu księżny Zofii z Branickich Odescalchi. Ożenił się z Włoszką, umarł i zostawił żonę, która ma już dziś lat 60 i córkę 24-letnią. Panna Justyna Nowotna, osobliwej piękności i nienagannego prowadzenia młoda osoba, daje lekcye fortepianu i pomaga matce w domu. Pani Nowotna ma dwa wolne pokoje, wynajęła jeden p. Meonimu, inspektorowi w biurze podatków, drugi zaś p. Guglielmiemu, urzędnikowi w ministeryum robót publicznych. Pierwszy liczył 56, drugi zaś 55 lat. Guglielmi szalenie zakochał się w pannie i oświadczył o jej rękę, która mu obiecana została. Atoli staruszkowaty narzeczony był niezmiernie podejrzliwy i ulegał paroksyzmom zazdrości młodzieńczej. Wyobrażał on sobie, że między piękną Justyną a Meonim istniało miłosne porozumienie i tajny stosunek, i że się nawet odbywały o pewnych godzinach podejrzane między nimi schadzki. Razu więc jednego, aby taką mniemaną schadzkę wyśledzić i złapać oboje na gorącym uczynku, wrócił wcześniej niż zwykle, z biura. Panny Nowotnej nie było jeszcze w domu, lecz traf sprawił, że Meoni także prędzej dnia tego wrócił, i potwierdził tym sposobem podejrzenia zazdrośnika. Gdy więc zadzwonił, Guglielmi sam mu otworzył i przywitał go znienacka kilkakrotnem pchnięciem długiego sztyletu. Meoni wnet się cofnął, tak, iż pchnięcia te nie mogły być głębokiemi, drzwi zatrzasnął i jął wołać o pomoc. Narzeczony tymczasem, mniemając, że przeciwnika zabił, pobiegł do swojej stancyi i rzuciwszy się na sofę i przyłożywszy rewolwer do serca, wystrzelił dwa razy... Drzwi były zatarasowane, a gdy sąsiedzi, słysząc strzały, zdołali je wyłamać i wkroczyć do pokoju, znaleźli już tylko trupa Guglielmiego na sofie. Rany zaś Meoniego, nader powierzchownie, wymagają tylko dwóch tygodni leczenia.

Panna Justyna Nowotna, wracając z lekcyj do domu, zastała narzeczonego bez życia i list jego do siebie, w którym mówiąc jej o piekle, jakie zazdrość stworzyła w jego duszy, oświadczał, że współzawodnika zabije, a potem życie sobie odbierze.

Teatr. Dziś we czwartek (28 bm.) o godzinie 7 wieczorem „Hugenoci“, opera w 4 aktach Mayerbera, z pp.: Warmuthem, Bernardem, Jerominem, Zegarkowskim i panną Bussi. — Jutro w piątek trzeci: „Dwie Eleonory“, komedya w 4ch aktach Pawła Lindaua.

Literatura i Sztuka.

* **„A secret mission“** (Tajne poselstwo) jest najnowszą powieścią znanej autorki angielskiej E. Gerard, szczerej przyjaciółki Polaków. Powieść ta osnuta jest na tle współczesnem, bohaterowie jej żyją i działają w wiosce znajdującej się w pobliżu Warszawy, oraz w Warszawie samej. Główną rolę w powieści odgrywa Roman Starowolski, oficer pruskiego sztabu generalnego, który podczas świąt Wielkanocnych przybywa na wieś do swego brata przyrodniego Felicyana Starowolskiego. Zaraz w pierwszym dniu pobytu zwierza się on swemu bratu, że przybył tu, aby spełnić misyę powierzoną mu przez władzę wojskową, misyę zbadania konstrukcyi fortów rosyjskich. Autorka przedstawia nam swego bohatera jako Polaka, z którego niemieckie wychowanie starło już do połowy właściwości charakteru polskiego, który czuje się przedewszystkiem pruskim oficerem. Pochwała przełożonych, rychły awans, i wyszczególnienie są dla niego głównymi motywami, dla których podejmuje się niezwykłej misyi. Rozmowa, jaką w sprawie tej wiodą obaj bracia, w której Felicyan stanowczo potępia oddanie się całkowite brata swego na usługi rządu niemieckiego, gdyż zdaniem jego rząd pruski prawie takich samych nadużyć i gwałtów dopuszcza się na Polakach, jak rząd rosyjski, świadczy o tem, że autorka dość dobrze poinformowała się o zapatrywaniach naszego ogółu na stosunek Polaków do Rosyi i Prus. Wielką wagę kładzie autorka na opisy naszego kraju i zwyczajów. Zapewne w oczach angielskich czytelników opisy te nadają powieści szczególnego uroku.

Z innych męskich postaci w powieści napotykamy naszkicowanych pobieżnie tylko kilka figur, są niemi: jenerał rosyjski Wasiljew, dalej teść Romana Starowolskiego, staruszek mający pasyę łowienia much, wreszcie nieokreślonej barwy szlachcic polski, Rabowski, o którym w powieści dwukrotnie tylko mowa.

Z postaci kobiecych znajduje się na pierwszym planie hrabina Biruta Massalowska, młoda wdowa, kobieta emancypantka. W powieści pani Gerard miała ona zapewne odegrać rolę reprezentantki kobiet naszych z wielkiego świata. Jej przeciwstawieniem jest sielankowa postać dziewczęca 17-letniej Luby, którą Roman Starowolski poznaje u swego brata, jako siostrę bratowej. Obie kochają się w Romanie. Biruta Massalowska dowiaduje się od Romana, w jakim celu bawi w Królestwie — wyznaje on jej to podczas sceny miłosnej — i staje się dobrowolnie jego wspólniczką. Wkrótce nadarza się jej sposobność zabrania generałowi Wasiljewowi planu mobilizacyi wojsk rosyjskich. Generał bawiąc u niej i racząc się za namową Biruty zbytnio rumem, zapomniał o papierach tych, idąc z raportem do Gurki. Hrabina papiery te ukryła i oddała Romanowi.

Tymczasem policya rosyjska dowiaduje się przez swych ajentów w Berlinie, w jakim celu bawi Roman u swego brata. Odbywa ona rewizyę w jego mieszkaniu i znajduje kompromitujące papiery. Birucie powiodło się ujść przez granicę do Torunia, a następnie do Berlina, ale Romana zamknięto w cytadeli, skąd go dopiero za reklamacyą nadeszłą z Berlina, po kilku tygodniach wypuszczają. Ofiarą jedyną staje się brat Romana, który za to, że szpiega ukrywał w domu, skazany został na Sybir.

Roman, przybywszy do Berlina, gdzie mu koledzy zazdroszczą „sławy i odznaczeń“, spotyka się z Birutą. Nic już teraz nie stoi na przeszkodzie, aby kochający mogli połączyć się małżeńskim węzłem. Do tego jednakowoż nie przychodzi. Roman przekonał się, że Biruta jest kobietą bez serca, dla tego ją porzuca. Dalej odzywają się w nim wyrzuty sumienia, że brata wtrącił w nieszczęście. Postanawia więc poświęcić się za niego, oddać sam w ręce rządu rosyjskiego, wziąć całą winę na siebie, i wyjednać dla brata przebaczenie. Zamiar swój wykonuje.

Brat jego wraca do domu, a on idzie na Sybir. W drodze nazywa go żołnierz rosyjski „polskim psem“, co tak oburzyło dawnego oficera pruskiego, że w przystępie gniewu wydziera bagnet kozakowi i zabija go na miejscu. Ale w tej chwili ugodzony kulą — którą wystrzelił do niego jeden z należących do eskorty żołnierzy, pada i umiera.

Biruta Massalowska wstępuje po stracie kochanka do klasztoru.

W opowiadaniu pani E. Gerard występuje wszędzie na jaw przychylność autorki dla naszego społeczeństwa. Wszystkie postacie polskie w powieści mimo owej niefortunnej misyi, którą autorka powierzyła Romanowi Starowolskiemu, są szlachetne, i jest w nich zawsze na pierwszym planie sprawa kraju.

Wymagać od autorki, aby postacie jej powieści były rzeczywiście polskiemi, aby po polsku czuły i działały, byłoby pretensyą niczem nieuzasadnioną.

Przywykliśmy już do pobłażliwości względem wszystkiego, co się pojawia o nas w obcych literaturach; zwykle też z nieufnością bierzemy do rąk książkę cudzoziemca, piszącego, o naszych stosunkach. Kto z tem, uzasadnionem zresztą, uprzedzeniem zabierze się do czytania ostatniej powieści pani Gerard, ten znajdzie w niej wiele miłych niespodzianek. Autorka bowiem z własnej obserwacyi zna nasz kraj i spamiętała sobie dobrze wiele rzeczy, które u nas widziała. Ta znajomość autorki naszych obyczajów i naszego kraju uprzedza dla niej bardzo przychylnie.

Część ekonomiczna.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu**
Kraków 26 stycznia.

Nie ulega wątpliwości, że z dniem wejścia w życie nowej taryfy cłowej znaczna bardzo ilość zboża wyjdzie za granicę, przez co zapasy, które teraz są ogromne, doznają uszczuplenia i prawdopodobnie nie będą już mogły być uzupełnione, ponieważ w rękach producentów niewiele już pozostaje zboża. Ta okoliczność budzi na nowo chęć spekulacyi i dla tego tak jak wczoraj na giełdach zbożowych, dzisiaj na tutejszym targu cokolwiek lepsze objawiło się usposobienie, a chociaż ceny nie zdołały się podnieść, to przecież tendencya zniżkowa, jaka panowała dotąd, w dalszych postępach została powstrzymaną.

Płacono: za pszenicę białą od 11.85—12.10, za czerwoną od 11·50—12·—, za żółtą od 11.50 do 12·00 zł., za żyto 10.60 do 10 90 zł.; za jęczmień browarny od 7·85 do 8 50 zł; na paszę od 7 35 do 7·75 zł.; za owies od 6 80 do 7·20 zł.; rzepak od —·— do —·—. Wszystko za 100 kilogramów.

Wiedeń 25 stycznia.

(*Z*). Mieliśmy dziś formalną panikę, ale do góry nie w dół. Kolosalny obrót w Kredytach przypomina owe szalone czasy gorączki spekulacyjnej z przed krachu. Dziś poszły Kredyty znów o 8 złr. w górę, tak że stoją dziś o 40 zł. wyżej, aniżeli dwa miesiące temu. W znacznej mierze przyczyniła się do tego regulacya waluty, będąc niewyczerpanem źródłem senzacyjnych pogłosek, korzystnych dla Rotszyldowskich papierów, — dzisiejszą haussę jednak zawdzięczają Kredyty jeszcze czemu innemu. Oto kontrmina berlińska musiała dziś kapitulować, zniżkowcy nad Spreą tłumnie rzucili się do kupowania atakowanych od tak dawna przez siebie walorów, każda godzina jest teraz dla nich drogą, bo im wcześniej kupią, tem mniej stracą. Hasło do tych gorączkowych zakupien w Berlinie dała upadłość frankfurckiej firmy M. Sanct Goar. Firma ta istnieje już od stu lat i dawniej trudniła się wyłącznie handlem towarów z Ameryką, po wojnie jednak rzuciła się na pole operacyj giełdowych. Firma Goara była jednym z filarów kontrminy berlińskiej i od kilku tygodni grała szalenie na zniżkę w Kredytach, t. z. sprzedawała je. Dziś jednak zabrakło jej już pieniędzy do prowadzenia dalszej gry i na giełdzie berlińskiej musiano dziś na rzecz jej w drodze egzekucyjnej zakupywać Kredyty.

W obec tego musieli i inni zniżkowcy kapitulować, bo są za słabi. — Oprócz Kredytów poszły dziś znacznie w górę także Uniony, Statsbahny i renty. — W Paryżu znów kupowano chciwie węgierską rentę złotą.

Ostatnie notowania:

Kredyty austrj. 309·40, węgierskie 346 50, Anglobanki 162·—, Uniony 239·25. Bankvereiny 112·25. Länderbanki 208·60, Ludwiki 211·—, Czerniowieckie 247·25. Renta papierowa 94·80, srebrna 94·45, austryacka złota 111 65, papierowa 103 15 węgierska złota 108 40 papierowa 102·55, dukat 5 58, 20 frankówka 9 37¼ marki 11 66, ruble 1·15½ zł.

Wiedeń 26 stycznia.

(Z) Szalony prąd zwyżkowy ustał dziś trochę, raz dla tego, że zagraniczne targi były słabo usposobione, a powtóre, że wielu spekulantów grających na zwyżkę chciało zagarnąć już nadspodziewanie wielki zysk, i sprzedawało dziś swe papiery. Dla tego też kurs większej części walorów bankowych cofnął się dzisiaj. W kolejowych papierach różnica kursu była bardzo nieznaczną, przemysłowe zaś spadły także. Jedne renty wspólne szły wciąż w górę. W południe notowano je 95 20 a wieczorem już 95.45. Jest to kurs niesłychanie wysoki, bo odpowiadający kursowi 113.60, gdyby procent od kuponów wynosił 5 od sta. Taka haussa rent jest wyjątkowem zjawiskiem na giełdzie i tylko gorączkowa spekulacya na regulacyę wywołać ją mogła. Finansiści kupują tak chciwie papierową rentę wspólną, że dziś prawie w całości ulokowoną jest ona w Austryi.

Srebrna renta mimo, że ten sam procent przynosi, jest o 70 ct. tańszą, gdyż nie jest już tak poszukiwaną. — Na wszystkich giełdach europejskich spadły dziś znacznie papiery górnicze, gdyż w Glasgowie rozbito ring, który skupywał warranty tamtejszych składów żelaza i podnosił ich cenę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 307 —, węgierskie 344·25, Anglobanki 162 40, Uniony 239·25, Bankvereiny 114·75, Länderbanki 210·—, Ludwiki 210·75, Czerniowieckie 246 50, Renta papierowa 95·20, srebrna 94·55, austryacka złota 111 35, papierowa 103 20, węgierska złota 108 15, papierowa 102·70, dukat 5 57, 20 frankówka 9·38—, marki 11·57 ruble 1 15½.

Z zbożowych targów.

28 stycznia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Jarosław
Pszenica	11.25 11·75	11 20 11 50	10 71 11 75	11 35 12 —
Żyto	10 — 10 35	9 80 10 20	9 50 10 25	10 — 10 50
Jęczmień	6 75 8 —	6 60 7 75	6 75 8 —	7 50 8 10
Owies	7 25 7 70	7 — 7·25	6 61 7 25	7 80 7 85
Groch	6 50 13.—	6 25 13 —	6·— 12 50	7 — 13 —
Wyka	— —	—	—	—
Rzepak	13 — 13 50	13 — 13 50	13 — 13 25	13 25 13 75
Chmiel	—	— —		
Konic. czer.	45 75	40 73	42 72	50 76
Konic. biała	—	—	.	—
Okowita	—	—		

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Okowita gotowa za 10 000 litr. pr., loco Lwów 21.— do 21 50 zł. Chmiel 50·— do 65·— zł. za 56 kilo loco Lwów, nominalnie.

Na żyto więcej odbiorców. Usposobienie ciągle spokojne.

§ **Na wtorkowy targ na nierogaciznę** w Wiedniu przypędzono 2975 sztuk galicyjskiej nierogacizny i płacono od 28—32 zł., za towar najlepszy 35 do 36 zł. za 100 kilogr. żywej wagi prócz opłaty akcyzowej.

Ceny zbożowe:

Wiedeń 26 stycznia. Pszenica na wiosnę 10.77 do 10.80, na maj-czerwiec 10.65 do 10.68, na jesień 9.75 do 9.78. — Żyto na wiosnę 10 51 do 10.54 na maj-czerwiec —.— do ——, na jesień 8.85 do 8.88 — Kukurudza na styczeń 5 93 do 5.98, na maj-czerwiec 5.93 do 5.95, na lipiec-sierpień 5.93 do 5.99. — Owies na wiosnę 6.54 do 6.57, na jesień 0.— do 0.—. — Rzepak —.— do —.—. — Spirytus gotowy, kontyngentowany 22.— do 22.25 zł.

Peszt 26 stycznia. Pszenica na wiosnę 10.59 do 10.61, na jesień 9.44 do 9.46. — Owies na wiosnę 6 12 do 6.14, na jesień 0.— do 0.—. — Kukurudza na styczeń 5.55 do 5.57, na maj-czerwiec 5.58 do 5 61. — Rzepak 13.40 do 13.50. — Spirytus 21.— do 21.50 zł.

Berlin 26 styczn. Pszenica na styczeń 210.—, na kwiecień-maj 209.—, — Żyto loco 212.—, na styczeń 215.—, na kwiecień-maj 211.25, na maj-czerwiec 208.75. — Jęczmień loco 156 do 200. — Owies na styczeń 159.—, na kwiecień-maj 158.25 za 1000 kg. — Spirytus loco 47 60, na kwiecień-maj 48.— marek.

Telegramy „Przeglądu“

Rzym 28 stycznia (pr.) Przed lokalem redakcyi dziennika *Popolo Romano* urządziło 300 studentów kocią muzykę za to, że pismo to wezwało ministra oświaty, aby energiczne zarządził środki celem stłumienia rozruchów studenckich w Neapolu i Turynie.

Berlin 28 stycznia (pryw.) Podczas koncertu, danego w filharmonicznem Towarzystwie, odbyła się wczoraj burzliwa scena. Słynny muzyk Hans Bülow dyrygował orkiestrą; w tem kilka osób wyszło z sali. Bülow zirytowany krzyknął: „Niemuzykalna hołota!“ Oburzyło to publiczność, więc też gdy po skończonym utworze Bülow schodził z podium, zaczęto sykać, piszczeć, wyć i krzyczeć: „precz z Bülowem!“ Podobno Towarzystwo da mu dymisyę z posady dyrygenta koncertów.

Berlin 28 stycznia. Wielki książę Aleksy był wczoraj na obiedzie u cesarza. Nocnym pociągiem odjechał do Petersburga.

Wiedeń 28 stycznia. Po zmarłym wielkim księciu Konstantym Mikołajewiczu zarządzono sześciodniową żałobę dworską począwszy od 28 stycznia, która noszoną będzie równocześnie z żałobą po arcyksięciu Karolu Salvatorze.

Wszyscy ministrowie, ciało dyplomatyczne i naczelnicy urzędów dworskich składali wczoraj arcyksięciu Franciszkowi Salvatorowi gratulacye z powodu przyjścia na świat córeczki. — Wieczorny biuletyn lekarski konstatuje, że stan zdrowia arcyksiężny Maryi Waleryi jest zadawalniający. Nowonarodzona arcyksiężniczka przedstawia rozwój odpowiedni początkowi ostatniego miesiąca brzemienności.

Presse zaprzecza stanowczo doniesieniu jednego z dzienników wiedeńskich, jakoby namiestnik Czech hr. Thun był tego zdania, iż najlepiej będzie odroczyć na kilka lat całą akcyę ugodową.

Rzym 28 stycznia. W senacie, w toku obrad nad traktatami, oświadczył Rudini, że pokłada zupełną ufność w niezmienną lojalność sprzymierzeńców Włoch. Dalej rzekł minister, iż jest zwolennikiem wolnego handlu, a co się tyczy Szwajcaryi okazują Włochy jak największą uprzejmość, wszelako nie mogą posuwać jej tak daleko, aby zaszkodzić przez to swoim interesom narodowym. Oświadczenie ministra przyjął senat bardzo życzliwie.

Bilbao (stolicy hiszpańskiej prowincyi Wizcaya) 28 stycznia. Sytuacya pogorszyła się. We wszystkich kopalniach zawieszono roboty i przedsięwzięto środki ostrożności, aby zapobiedz zaburzeniom anarchistycznym. Jenerał Loma przybył tutaj i ogłosił stan oblężenia.

Bilbao 28 stycznia. Z powodu, że rozruchy tutejsze przybrały charakter międzynarodowo-anarchistyczny, postanowił rząd wszystkich podżegaczy do rozruchów przeciw wolności pracy postawić przed osobno wyznaczonym do zbadania tej sprawy sądem wojennym.

Madryt 28 stycznia. Spokój przywrócono w Bilbao i w całym powiecie. Pogłoska, że rozruchy wybuchły w innych prowincyach Hiszpanii, okazała się wymysłem.

Berlin 28 stycznia. Cesarz nadał ministrowi oświaty hr. Zedlitzowi order czerwonego orła pierwszej klasy z liściem dębowym i mieczami. Heyden'owi nadał cesarz order czerwonego orła pierwszej klasy z liściem dębowym, Thielenowi gwiazdę do orderu czerwonego orła 2 klasy, a prezesowi parlamentu Levetzowowi tytuł ekscelencyi.

Sofia 28 stycznia. Asystent Billrotha dr. Eiselsberg brał wczoraj udział w konsylium lekarskiem, zwołanem przez Stambułowa, który zresztą ma się całkiem dobrze. Dotychczas nie mogli jeszcze lekarze wskazać na pewno miejsca, w którem tkwi kula. Rana Stambułowa nie ma żadnego niebezpiecznego charakteru a chory nie ma wcale gorączki.

Wiedeń 28 stycznia. Cesarz przyjmował dziś deputacye obu Izb Rady państwa i Rady miejskiej, które złożyły mu kondolencye z powodu śmierci księżnej Ludwiki.

Arcyksiężna Marya Walerya i nowonarodzone dziecię mają się dobrze.

Izba posłów przyjęła wiadomość o narodzeniu się córki arcyksiężnej Maryi Waleryi trzykrotnym okrzykiem „Hoch.“

Budapeszt 28 stycznia. Dziś odbywają się wybory 341 posłów. Do południa wiadomy był rezultat 79 wyborów, mianowicie wybrano 55 liberałów, 13 kandydatów stronnictwa niezawisłego, 8 narodowego (hr. Apponyiego) i trzech zwolenników Ugrona (radykałów). Między wybranymi znajdują się ministrowie Szapary i Weckerle. Ministra Barossa wybrano w trzech okręgach, t. j. w Raab, Pięciokościołach i Steinamangerze.

Wiedeń 28 stycznia. Dziś toczyła się dalej jeneralna debata nad reformą studyów prawniczych.

Mówca jeneralny contra p. Herold i przy tej sposobności wytaczał skargi czeskie i protestował przeciwko zamierzonemu przez Niemców rozszarpaniu krajów czeskich.

Godzina 1 min. 20. Jeneralny mówca pro p. Jaques zabiera głos.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 28 stycznia 1892

HOTEL ŻORŻA. F. Gużkowski z Polski. B. Głębocki z Wołynia. J. Rakowski z Hermanowic. L. Stillmann z Mad. Dr. H. Wiglitzky z Czerniowiec. K. Zak z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI. E. Dudziński z Żurawna. A. Łowicki z Leżachowa. M. Werber z Dalmacyi. P. Gossl z Wiednia. G Berlizheimer z Niemiec A. Goldblatt z Wiednia. Br. Baselli, L. Hühl z Żółkwi. K. Freund z Wiednia.

Nadesłane.

Z Brzeżan piszą nam: W dalszym ciągu ofiarowali na wentę gospodarską:

Matczyńscy z Łapszyna 6 but. wina, 4 but. ratafii, 6 puszek bulionu, 12 flaszek smarowidła na skóry, 100 papierosów i kanapki, Lurie popielniczkę, podstawka na zapałki, Kubelkowa flaszkę wiszniaku, słoik wisseń, słoik malin, lampkę i półmisek ciast, Janowska 6 szklanek, Spitzerowa ramki i kałamarz, Baczyńska figurkę na zapałki, lampkę i kieliszek, P. X. płukankę, Schols ryż, Wierzbicka ciężarek, Madeyscy 5 flaszek wina, 2 pudełka czekoladek, głowę cukru, Sabatowscy z Poryczyna słoik grzybów, 2 kilo masła, Kolarzowska 4 kapłony, Grodzicka półgąsek, sok, Szymonowiczówne 100 papierosów, Cywińska z Telaczego barana i flaszkę wódki, Grene nóż do rozcinania kartek i książkę, Maurer koszyczek papierowy, Steinerowa bukiet, wazon, jabłko porcelanowe, kałamarz, grzybek i obraz, Jorkasch zająca i 2 flaszki wina, Kurowski 2 flaszki wina, Malinowska budzik i cukierki, Tychowiczowa obraz, Raszewko stalugą, kałamarz, flakonik, Dąbrowska 2 flaszki wina, Ujejska z Sewerynki 5 flaszek miodu, Wąsowicz lampę, 3 słoiki kompotów, Majblum ser i masło, Misiewicz pierniki, Wolska kosz jabłek, zabawki, flaszkę soku i flaszkę wódki. Kajdan puszkę na tytoń i koszyczek, Borzęcka 4 wazoniki kwiatów, puharek i wazoniki. Kapanowski maselniczka i 2 podnóżki, Szczepańska z Laszek, 2 kaczki, 2 kapłony, Sochanik 4 zające, Asłanowa z Kotowa 2 sery, kilo masła i 2 słoiki kompotów, J. O księżna Leonowa Sapieżyna 4 zające, 3 kręgi sera szwajcarskiego, faskę powideł, Aniela Pawlikowska z Bereźnicy rogacza, 2 kapłony, Marmorosz z Olesina indyka, Litwińska salceson, Sternowa 2 kaczki, Wiszniewski kosz jabłek.

(Dokończenie nastąpi).

Telegram giełdowy.
Wiedeń dnia 28 stycznia godz. 1. min. 40

Akcje kred.	309 25	Węg. kolej półn. wschodn.	198·50
Alpiny	62 50	Wiedeńskie losy kom.	151.50
Kredyty węg.	344·50	Akcje tyton.	163 75
Anglobanki	163 30	Gal. obl. indem.	104·75
Uniony	240.75	Elbethale	234 75
Ludwiki	211.25	Länderbanki	212·75
Nordbany	287 50	Renta zł. węg.	108 —
Lombardy	91·37	Bankvereiny	115·—
Losy tureckie	33 40	Renta węg. p.	102·80
Staatsbahny	295 25	Ruble	1·15·25
Czerniowieckie	248 50		

Usposobienie silne.

Pociągi kolejowe
Podług zegara lwowskiego (Od 1 października 1891.)

Do Lwowa przychodzą:	Pociąg posp. lub kuryer	Pociąg osobowy	Pociąg osobowy	Pociąg mieszany
Z Krakowa	4·08	8 50	9·28	7.15
Z Podwołoczysk	2·20	7·30		8·15
Z Podwołoczysk na Podzamcze	2·08	7·01		2·38
Z Bukaresztu, Jass, Suczawy, Czerniowiec, Husiatyna i Stanisławowa	7·58	1·57		
Z Suczawy, Czerniowiec i Stanisławowa		6·52		
Z Suchej, Chyrowa, Husiatyna Stanisławowa i Stryja		3·45		
Z Kołomyi. Stanisławowa i Husiatyna		11.57		
Ze Stanisławowa, Budapesztu, Munkacza, Ławocznego i Stryja		9·06		
Z Pesztu, Ławocznego, Nowego Sącza, Chyrowa, Husiatyna, Stanisławowa i Munkacza		11·47		
Z Rawy				8 25
Z Sokala i Bełzca				4·21
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	2·28	4·20	7·20	8·30
Do Podwołoczysk	4·11		9·50	10·35
Do Podwołoczysk z Podzamcza	4·22		10·15	11·05
Do Zimnejwody-Rudna			4·20	
Do Suczawy, Czerniowiec, Stanisławowa, Husiatyna, Jass i Bukaresztu	9·15	10·23		
Do Stanisławowa, Czerniowiec, Jas i Bukaresztu		4·29		
Do Stanisławowa i Kołomyi		5·23		
Do Stryja, Ławocznego, Munkacza, Budapesztu, Stanisławowa i Husiatyna		8·23		
Do Stryja, Chyrowa, Suchej i Stanisławowa		10·49		
Do Stryja, Stanisławowa. Husiatyna, Ławocznego, Pesztu, Chyrowa, Nowego Sącza i Munkacza		6·25		
Do Bełzca i Sokala				9·24
Do Rawy				6·15

Uwaga: Godziny podkreślone linijką, oznaczają porę nocną od godziny 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

12)

Przy zamkniętych drzwiach

POWIEŚĆ

przez

Anny Katarzyny Green.

Przetłomaczyła z angielskiego p. Eugenia Żmijewska.

(Ciąg dalszy).

Dlatego też pan Gryce z żywem zainteresowaniem otrzymał nazajutrz wczesnym rankiem wezwanie *coronera*, aby się stawił w jego kancelaryi dla rozmówienia się w sprawie Mildred Farley.

Rozmowa miała miejsce w cztery oczy.

— No i cóż, Gryce — odezwał się *coroner* — wracam właśnie z domu, w którym z takiem powodzeniem wczoraj wieczorem odegrałeś rolę chorego pacyenta. Zadziwia mnie, jakim sposobem znalazłeś się właśnie na miejscu w chwili przyniesienia zwłok? Czy byłeś uwiadomiony o katastrofie?

— Po części tak — odparł p. Gryce. — Pewna okoliczność wzbudziła moją ciekawość i o niej właśnie chcę pomówić, jeśli uważasz pan za stosowne dyskutować nad tem, co zdaje się niewątpliwem, a mianowicie, że doktor Molesworth jest człowiekiem uczciwym i zacnym, za jakiego uchodzi powszechnie.

— Nie ma tematu, któregobym nie uważał za godny dyskusyi — odparł poważnie *coroner* — co zaś do doktora Molesworth, istotnie, stoi on wysoko w ludzkiem mniemaniu, lecz nieskalaną jest również opinia wielu innych ludzi, których musimy opłątywać siecią indagacyi. Czy odkryłeś pan coś takiego, coby w sprzeczności z jego opowiadaniem?

— Z jakiem opowiadaniem?

— Czyż go pan niesłyszałeś? Zdawało mi się, że mówił to w pańskiej obecności.

— Opowiadał dwie historye: jednę ustami, drugą wyrazem twarzy i dlatego właśnie powątpiewam o wiarogodności pierwszej.

— A więc nie dowierzasz mu pan?

Pan Gryce uderzył palcami o stół.

— I jakież masz pan ku temu powody? — zapytał *coroner*, przyjmując ten ruch za odpowiedź. — Zwykle miewasz dobre i słuszne.

— Tak — potwierdził pan Gryce — miewam zwykle powody słuszne, lecz tym razem trudnoby mi było je sformułować. Czuję, że po za tą sprawą jest coś, czego nie możemy dojrzeć, lecz wstrzymuję się jeszcze od wszelkich podejrzeń. Niewiele faktów zdołałem zebrać w tym krótkim czasie, lecz są one dość ciekawe. Być może, dodasz pan jeszcze swoje wiadomości do tej wiązanki. W takim razie konferencya nasza doprowadziłaby do pożądanych rezultatów. Oto, co wiem.

I powtórzył najprzód opowiadanie doktora Molesworth. Gdy skończył, zapytał *coronera:*

— Czy słowa te zgadzają się z tem, co doktor mówił panu dzisiaj?

— Najzupełniej.

— Dobrze. Tyle co do ogólnych zarysów. Przejdźmy teraz do pobocznych szczegółów. Wczoraj po południu widziałem tę dziewczynę.

— Widziałeś ją pan?

— Tak, widziałem i wziąłem ją nawet za kogo innego, za osobę, do której była dziwnie podobną. Miało to miejsce w hotelu C.

— Tak!

— Nie będę wchodził w dalsze szczegóły tego zdarzenia, gdyż nie odnosi się ono do sprawy, którą mamy przed sobą. Dość będzie, gdy powiem, że dla wiadomych mi powodów szpiegowałem tę młodą osobę i widziałem ją w chwili, gdy sądziła, iż jest zupełnie sama w swoim pokoju. Było to o jakiej pierwszej po południu, wydawała się wówczas zupełnie szczęśliwą, na twarzy jej nie znać było również cierpienia fizycznego.

— Jest to ważna poszlaka, niewątpliwie.

— Zapamiętaj ją pan, a weź przytem na uwagę, że gdy po trzech godzinach wróciłem znowu do hotelu i chcąc się utwierdzić w pewnem podejrzeniu, zająłem poprzedni punkt obserwacyjny w towarzystwie drugiego świadka, (którego nie potrzebujesz pan powoływać), spostrzegłem, że w pannie Farley zaszła wielka zmiana. Zmiany tej nie wywołała choroba. Sprowadziło ją nagłe nieszczęście. W jej bladości, w jej ruchu i wyrazie twarzy czytałem rozpacz, a nie cierpienie fizyczne lub umysłowe. I cóż mogło w tak krótkim czasie spowodować taką zmianę? Sądzę, iż widzenie się i rozmowa z doktorem Molesworth, gdyż według własnych jego słów i zeznania szwajcara, był on u młodej osoby po południu i jakkolwiek, wychodząc, oświadczył szwajcarowi, iż wróci wieczorem dla poślubienia jej, zaszło wszelako po między młodą parą coś takiego, co zniweczyło szczęście dziewczyny. Po raz pierwszy oczy moje oglądały wesołą, pełną nadziei oblubienicę; po raz wtóry stroskaną, zrozpaczoną kobietę.

— A więc tak? — podchwycił *coroner.*

— I kiedyż uciekła? — mówił dalej agent. — Wkrótce po tem, jak ją widziałem po raz ostatni. I w jaki sposób? Kelner widział ją wychodzącą z woreczkiem w ręku. Powiadał, że nie wyglądała wcale na osobę dotkniętą chorobą umysłową, lub też przemyślającą nad samobójstwem. Lecz trudno polegać na świadectwie kelnera — pominiemy je zatem. Nie zapominajmy wszelako, że miała twarz zasłoniętą woalką, że woalka ta była bronzowa, ciemna. Dwie osoby mówiły mi to: kelner i posługaczka, na której zeznaniu możemy polegać, gdyż miała sposobność zaobserwowania tego toaletowego szczegółu. Lecz (pamiętaj pan dobrze ów fakt, wydaje mi się on ważnym) woalka, zwieszająca się u jej sukni, gdy przyniesiono Mildred Farley do bawialni pani Olney, była jasno popielata, inna zupełnie od tej, którą miała, wychodząc z hotelu. I jakiż stąd wyprowadzić należy wniosek? Nie ulega wątpliwości, że Mildred gdzieś wstępowała. Gdzie? Drugi punkt, pozostający do wykrycia. A teraz co do trucizny. Po wyjściu od pani Olney, wczoraj w nocy, przechodziłem przez ulicę Dwudziestą Drugą i tam przed jednym z domów, pomiędzy piątą i szóstą przecznicą, znalazłem rozbitą flaszkę, z której rozchodził się ostry zapach gorzkich migdałów. A więc ta część opowiadania jest prawdziwą. Przyniosłem kawałki potłuczonego szkła.

Coroner spojrzał na nie z ciekawością, następnie przeniósł wzrok na pana Gryce.

— Cóż dalej? — zapytał, rozumiejąc, iż milczenie agenta jest wymownem.

— Czy nie widzisz pan nic osobliwego w tej flaszce?

— Nie, nic nie mogę dojrzeć.

— Na truciznach, kupowanych w aptekach, przylepiane są zazwyczaj etykiety.

— Istotnie.

— Otóż flaszka ta początkowo zaopatrzona była w etykietę.

— Spostrzegam to teraz dopiero.

— Lecz etykieta została zmyta, lub raczej zdarta mokrą ręką. Pozostały jeszcze kawałki papieru.

— Widzę je.

— I cóż stąd za wniosek! Zachowano środki ostrożności. Ostrożność zaś nie jest właściwą samobójstwu, bądź to obmyślanemu z góry, bądź też będącemu dziełem przypadku.

— Hm!

— Daje mi do myślenia jeszcze jeden szczegół. Doktor Molesworth twierdzi, iż znalazł tę dziewczynę, siedzącą na schodach. Schody te przyprószone były nieskalanym śniegiem. Lecz być może, iż od chwili, gdy doktor zabrał Mildred Farley, spadła nowa warstwa i przyprószyła ten ślad.

— Jest to możliwem.

— Brzegi schodów wszelako nie były wilgotne, jakby to miało miejsce, gdyby kto siedział na nich. Według mnie, jest to dowodem, że na nich Mildred Farley nie siedziała. Sądziłbym raczej, że wyniesiono ją z domu prosto do faetonu, lecz posądzenie to jest nieprawdopodobnem wobec faktu, że działo się przed domem generała X.

— Skądże pan znasz szczegóły toalety panny Farley?

— Mam je od Harrisona, którego pan posłałeś wczoraj do *boarding-housu* pani Olney. Widziałem się z nim przed pięciu minutami, spodziewając się, że mnie pan wezwie.

— I cóż dalej?

— Zbliżam się już do końca moich spostrzeżeń. Czy nie zastanawiało pana, co się stało z woreczkiem panny Farley?

— Nie wiedziałem wcale, że miała przy sobie woreczek.

— Mówiono mi o tem w hotelu, a oto dowód oczywisty.

Mówiąc to, pan Gryce wyjął z kieszeni paltota czarną skórzaną sakiewkę, ze stalowemi literami: M. F.

— Widzisz pan pierwsze litery imienia jej i nazwiska.

Coroner skłonił głowę.

— Dziwisz się pan zapewne, w jaki sposób wszedłem w posiadanie tej sakiewki? Ha, w najprostszy w świecie. Była w faetonie.

— Ah, w faetonie!

— Wczoraj, gdym wyszedł od pani Olney, zobaczyłem ten wehikuł, stojący przed schodami, a ponieważ, według słów doktora, śmierć nastąpiła w faetonie, sądziłem, że warto zajrzeć do niego. Wsiadłem więc i odjechałem, spodziewając się, że lada chwila ktoś mnie zatrzyma i że będę musiał wyjawić prawdziwy mój charakter, lecz okoliczności mi sprzyjały i oto, co zdobyłem. Wehikuł znajdziesz pan pod strażą agenta naszego przy West Street, pod numerem 66-tym.

— No i cóż pan odkryłeś? — zapytał Coroner.

— Przedewszystkiem tę torebkę — odparł pan Gryce — zresztą było tak ciemno...

Coroner spojrzał na niego podejrzliwie.

Czyżby przychodziło mu na myśl, że pan Gryce ukrywa coś przed nim? Bądź co bądź, nic nie powiedział.

Agent ciągnął dalej:

— Woreczek ten może nam wyjawić wiele ciekawych rzeczy. Zechcesz pan może go otworzyć

— Coroner uczynił to i wyjął kilka artykułów tualetowych; wszystkie były nowe i czyste.

— Nic nas tu nie może wprowadzić na trop — rzekł — ani śladu trucizny, żadnego listu, ani kawałka zapisanego papieru.

Pan Gryce nie wypowiadał swojego zdania.

— Chciałbym — rzekł — sporządzić inwentarz tych wszystkich artykułów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier Braci Fijałkowskich Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak